

odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 45 (1144) ROK XXII

11 LISTOPADA 1979 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: R. Łucyszyn

LUCJUSZ WŁODKOWSKI **GÓRNA**

— Chcesz zobaczyć dawną Łódź — powiedział mi znajomy — jedź na Chojny. Tam jakby przeszłość zatrzymała się, wkomponowała się w nowe miasto. Na Górnej znajdziesz nie brukowane ulice i to bardzo blisko miejskich arterii komunikacyjnych. Zobacysz kolejki po wodę przed beczkowozami. Tylko spiesz się — poradził — bo na Zatorzu rozpoczęto już wykopy pod nowe bloki. W przyszłym roku zacznie się też budować nowe osiedle w rejonie między ulicami: Tuszyńską, Krakusa, Sanocką i Strycharską.

— U nas — powiedział mi później naczelnik Górnej, Józef Rudnicki — 75 procent mieszkańców żyje w starych domach.

Nim jednak pojechałem na Chojny, spojrzałem na mapę Łodzi. Rzadko kiedy uświadamiamy sobie granice między dzielnicami. Miasto traktujemy jako jedną całość. Podział na dzielnice ma ułatwić administrowanie miastem. I ułatwia. Ale przecież dzielnice Łodzi mają swoją odrębność, swoje cechy charakterystyczne ukształtowane historycznie. Spójrzcie na mapę miasta umyślnie nam, że w rejonie ulic: Wólczajskiej, Czerwonej, Piórkowskiej, Millionowej, zbiegają się cztery dzielnice: Polesie, Śródmieście, Widzew i Górna. Nikt o tym na co dzień nie pamięta. Dla każdego z nas centrum Łodzi kończy się na placu Niepodległości, gdzie dawno temu stał pierwszy w mieście dom towarowy. Ale mapa Łodzi wyraźnie określa, że formalnie centrum kończy się na ulicy Karola Świerczewskiego i Brzeźnej. Plac Niepodległości pozostaje daleko od tego centrum.

Pozostaliśmy jeszcze przez chwilę przy mapie Łodzi. Żółte pasy wyraźnie pokazują jak przez Górna biegną międzynarodowe trasy. E-12 Pabianicka do J. Gagarina, Władysława Broniewskiego, Promińskiego i dalej na północ do Strykowskiej, E-16 Rzgowska do J. Gagarina, aleją Politechniki, aleją Mickiewicza do alei Włókniarzy i dalej na północ ulicą Zgierską. Obie one omijają plac Niepodległości. Ale przecież wystarczy stanąć sobie na tym placu, aby przekonać się, że jest on i centrum dzielnic i ważnym węzłem komunikacyjnym miasta. Kiedy więc już objechałem Górna, zajrzałem, gdzie zajrzeć mogłem, wróciłem i stanąłem na placu Niepodległości.

Znany wszyscy ten plac. Nie zawadzi jednak przypomnieć sobie kilka szczegółów. Od południa plac Niepodległości zamyka DT „Uniwersał” oraz kawiarnia „Rarytas”. Po przeciwnej stronie jezdnia duży węzeł tramwajowy z obskurnym baraczkami, który udaje dworzec tramwajowy. Po stronie zachodniej plac z widniejącym dalej Domem Rzemiosła i Polmozybtem. Obok Hala Targowa i targowisko. Można tu kupić niemal wszystko, zjeść kielbasę z rożna, smażoną rybę, napić się piwa. W „Górniaku” przy ulicy Sieradzkiej, która zamyka plac od północy, można zjeść obiad i wypić kielicha. Od strony wschodniej plac nie prezentuje się najlepiej. W ogóle potrzebny tu architekt, potrzebny projekt, który zakładałby przebudowę placu Niepodległości.

— Będzie — powiada Józef Rudnicki. — Architekci nad tym pracują. Ale nam nie chodzi tylko o sam plac Niepodległości. Myślimy o racjonalnej przebudowie całego tego rejonu. Między Piórkowską a Rzgowską, przy placu Reymonta stanie biurowiec ZUS. To spowoduje

Dalszy ciąg na str. 3

W NUMERZE:

Kwadratura piłki nożnej
Dla kibiców od dawna nie było tajemnicą, że piłkarze popijają. Zdarzały się takie wypadki, że de niektórych trenerów dzwonił z restauracji kibice, informując, iż właśnie trwa suto zakrapiana zabawa, w której uczestniczą piłkarze rozgrywający najszybciej ważny mecz.
(BOGDA MADEJ)

Niezupełnie fantastyczny świat pomyślny
Tak czy inaczej fantastyka naukowa wciąż nie ma szczęścia do krytyków, ani do czasopism literackich, zwłaszcza w Europie.
(MACIEJ IŁOWIECKI)

Błękitnooka
— Zaraz północ — wrzeszczy Kola, zakładając nogę na nogę, obłożoną w modne rurki z drobnoprążkowego sztruksu, nie spoglądając na zegarek. Wokół szatni zawirował bowiem rozbawiony tłumek.
(JACEK INDELAŁ)

Moje 35-lecie
Ponieważ w naszej chalupie darli kiedyś pierze i podczas suto zakończenia mój brat grał na organkach, udało mi się napisać widowisko zwyczajowe „Pympek pi-rzówkowy” dla zespołu w Charbicach.
(KAZIMIERZ MAURER)

Jak ułatwić powrót
W Polsce inwalidzi najczęściej poszkodowani stanowią 3,5 proc. ogółu ludności. Ogromna większość wśród nich to osoby po amputacjach kończyn. Najczęstsza przyczyna amputacji, aż 47 proc., to choroby naczyniowe — miażdżyca, zespół Raynauda, choroba Bîrgera. Druga grupa przyczyn to urazy powypadkowe — 42 proc. Nowotwory złośliwe, zapalenia kości i stawów, odmrożenia — stanowią resztę przyczyn kalectwa.
(ZBIGNIEW S. NOWAK)

PONADTO:
„Załącznik” ● U przyjaciół
● Polityka ● Recenzje ● Felietony

TRZEBA ODNOWIĆ JĘZYK POEZJI

— Mam chyba prawo postawić panu, jako przedstawicielowi najwyższych władz Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Literackich (Association Internationale des Critiques Littéraires), pytanie, na które w Polsce znajdujemy tylko częściową odpowiedź. Jakiej jest dzisiaj miejsce literatury radzieckiej w świecie? Jaki wpływ wywiera ona na literatury innych narodów?

— Trzeba na ten problem spojrzeć z różnorodnych pozycji, przede wszystkim jednak trzeba przyjąć z jednej strony kryteria ogólnoludzkie, z drugiej estetyczne. I powiem od razu, że trudno mi ocenić literaturę radziecką z pozycji czysto estetycznych, choć na pewno znajduje się ona w głównym nurcie światowych poszukiwań literackich. Jeżeli natomiast chodzi o wartości ogólnoludzkie, to literatura nasza odgrywa ważną rolę we współczesnym świecie. Przede wszystkim dlatego, że zrodziła ją rewolucja, a w ciągu z górą sześćdziesięciu lat widzenie rewolucyjne szeroko rozprzestrzeniło się w świecie. A przecież literatura radziecka jest artystycznym odbiciem ideał rewolucji. I w tej warstwie znaczeniowej wywarła wielki wpływ na najsławniejszych artystów XX stulecia.

— Wiem, że interesuje się pan przede wszystkim poezją, o czym świadczy, szkoda, że tak mało znane u nas, książki pańskie: „Poeta i bohater liryczny”, „Liryka serca i rozumu (o

twórczej indywidualności poety)”, eseje poświęcone poezji Leonida Martynowa, Aleksandra Twardowskiego, Michaiła Swietłowa. Czy podjąłby się więc pan nakreślić, oczywiście w jakimś ogromnym skrócie, ewolucję radzieckiej poezji?

— Jestem wielbicielem Włodzimierza Majakowskiego. To moja pierwsza poetycka miłość

Rozmowa z **ALEKSANDREM MICHAJŁOWEM**

od lat szkolnych. Nie oznacza to jednak, że mój stosunek do Majakowskiego był zawsze jednoznaczny. Zmieniałam się. Zmieniał się też mój stosunek: nie do samej poezji Majakowskiego, ale do jego osiągnięć technicznych. Był czas, że przyjmowałam wszystko bezkrytycznie. Później zacząłam podchodzić do tej sprawy bardziej refleksyjnie, bardziej głęboko. Zaczęłam oddzielać to, co było doraźne, publicystyczne, od tego,

co odpowiadało i odpowiada najwyższym kryteriom estetycznym. I myślę, że w naszej poezji nikt jeszcze nie potrafił przesłonić sobą Majakowskiego. Choć jednocześnie chyba większym od niego poetą jest Aleksander Twardowski. Ale jeśli chodzi o siłę rewolucyjnego ducha o jego wpływ na strukturę wiersza, to moim zdaniem, nie ma i nie było poetów równych Majakowskiemu.

Teraz w naszym kraju rozpanoszyła się tendencja wiersza tradycyjnego, klasycystycznego, wiersza solidnego, czy, jak ja to nazywam, germańskiego. Poezi trzyciustopiętolićni i starsi od nich odnoszą się do Majakowskiego krytycznie. Nie podzielam tych poglądów.

A jeśli chodzi o sam problem ewolucji poezji to powiem, że gdyby rzeczywiście pojawiły się młode talenty, talenty wielkie, wręcz rewolucyjne, to w pierwszym rzędzie uległyby odnowie język poezji. Przecież obserwujemy w świecie rewolucję naukowo-techniczną i postęp rewolucji społecznej. Ta sytuacja wprost prosi o to, żeby odnowić język poezji tego wyrazistość, obrazowość, nawet strukturę.

Często spieramy się o tradycję i nowatorstwo poezji. Otóż wydaje mi się, że w tych dyskusjach nowatorstwo odnosi się przede wszystkim



„...gdyby rzeczywiście pojawiły się młode talenty, talenty wielkie, wręcz rewolucyjne, to w pierwszym rzędzie uległyby odnowie język poezji”.
Foto: R. Łucyszyn

Dalszy ciąg na str. 8

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

„PARK KULTURY I WYPOCZYNKU W STANIE SPOCZYNKU”

W nr 40 „Ogłosów” ukazał się materiał pła...

stracyjno-technicznego nad lunaparkiem, warszt...

Srodowisko literackie, naukowe i bibliotekarskie Torunia organizuje w połowie październ...

kować, dokonywać bilansu, wyjaśnić, co się aktualnie w literaturze dzieje...

się być szczególnie uczuloną właśnie na warstwę językową...

KRYTYKA KRYTYKI

krytyków i naukowców Warszawy, Krakowa i Torunia, zapowiadali się interesująco...

grywa się w zasadzie nie nowego od początku lat sześćdziesiątych...

Wśród materiałów wręczonych uczestnikom sesji znalazł się również almanach pt.: „Toruń literacki”...

Kuratorium Oświaty i Wychowania w związku z publikacją redakcji ogłoszonej w numerze 35 z dnia 3 września 1979 r. „Proszę do tablicy”...

ników i innych form współwzrostu międzyklasowego i międzyszkolnego...

„PROSZĘ DO TABLICY”

Przed dwudziestą laty zawiązała się w Łasku grupa poetów „Grabia 59”...

GRABIA 59-79

Ze prekursorstwo „Grabia 59” — była to pierwsza grupa poetycka „Grabia 59”...

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze, piszę do Pana, bo nurtują mnie pewne wątpliwości...

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze, piszę do Pana, bo nurtują mnie pewne wątpliwości...

kich sztuk napisano, ale wiem, że sporo. Wiem, że sporo leży ich (zakurzonych) w Agencji Teatralnej...

XV RUBINOWA HORTENSJA

Rozstrzygnięty został jubileuszowy XV Konkurs Literacki o „Rubinową Hortensję”...

W związku ze śmiercią

Wyrazy serdecznego współczucia naszymu redakcyjnemu Koledze dr GRZEGORZOWI GAŹDZIE...

odgłosy

Redaguje telegram: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI...

Redaguje (redaktor techniczny) Stela wspólniowca: IAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER...

Redaguje (redaktor naczelny) Stela wspólniowca: IAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER...

Dalszy ciąg ze str. 1

konieczność uporządkowania najpierw tego placu. Później trzeba będzie uporządkować Rzgowską od placu Reymonta do ul. Dąbrowskiej...

Stoję więc sobie na placu Niepodległości i patrzę na tłum przelający się przed „Uniwersalem”. Ze Rzgowskiej wyjeżdża tramwaj nr 19, za nim jedzie „siódemka”, a bokiem przemyka autobus linii „C”...

— Chceba to było robić wcześniej — mówi Józef Rudnicki — byłoby taniej, ale wtedy nikt jakoś o tym nie myślał...

Tramwaje zabrały ludzi i skręciły w Piotrkowską, a ja sobie przypomniałem artykuł Aleksandra Paszyńskiego sprzed lat w „Polityce”...

dziwego zdarzenia można uznać jedynie „Wolność”.

I tu właśnie dochodzimy do owego „ale”. — Niedobrze się stało — mówi Eugeniusz Grabowski — że jakoś nikt nie pomyślał, kiedy budowano nowe zakłady na Dąbrowie...

Wiem już o co chodzi. Robię szybko rachunek w pamięci: „Polanił” ma salę na 500 miejsc, „Bistona” — na 400, „Dywilan” — na 250 miejsc...

— Wszystkie trzy fabryki podlegają temu samemu ministerstwu — przemysłu lekkiego. Gdyby więc — kontynuuje swoją myśl Eugeniusz Grabowski — połączono wysiłki...

— Odnawiliśmy dom kultury przy ulicy Łokatorskiej — dodaje Józef Rudnicki — i wystąpiliśmy do ministerstwa kultury z wnioskiem o powołanie w oparciu o ten dom dzielnicowego domu kultury.

Nie znaczy to jednak, że skoro nie ma dzielnicowego domu kultury, to nie ma też tu żadnego życia kulturalnego. Na Dąbrowie przemysłowej — bo tak się uтарыlo nazywać tę część Dąbrowy, która leży za torami — działa Centrum Kultury Włókiarzy...

— Jak mamy cztery kina, to jak możemy choć jedno z nich rozebrać? — odpowiada pytaniem Józef Rudnicki. I ma rację.

Okolice tego kina to najdziwniejsze miejsce w Europie. Na skrzyżowaniu są wszystkie rodzaje nawierzchni plus szyny tramwajowe. W tym miejscu tramwaje skręcają z ulicy Władysława Broniewskiego w Rzgowską...

Na Zatorzu kładzie się już ciepociąg i robi się wykopy pod pierwsze bloki. Aleja Włókiarzy dojdzie już niedługo do Pabianickiej. W przyszłości przekroczy Pabianicką, przejdzie w dzisiejszą ulicę Galileusza...

Dalej stoję sobie na placu Niepodległości i marzę. Nie jest to najlepsza pora na obserwację. Tłum przelął się przed Uniwersalem. Z Pabianickiej nadjeżdża tramwaj nr 41...

Rozważa się możliwość wybudowania na rogu Pabianickiej i Włoczańskiej dworca PKS „Południe”. Już niedługo przebieje się aleje Kościuszki do ulicy Czerwonej i dalej Włoczańską do Pabianickiej...

W 1980 roku rozpocznie się budowa osiedla zwanego umownie „Bednarska-Krakusa”, a ma-



EUGENIUSZ GRABOWSKI: „Gdyby włąc połączono wysiłki, to moglibyśmy dziś mieć piękny dom kultury”.

GÓRNAS: WIDOK Z PLACU NIEPODLEGŁOŚCI

no otuliny, wzmacniano ściany. Aleksander Paszyński bardzo krytykował tę technologię przedsiębiorstwa budowlanego noszącego nazwę „Dąbrowa”...

— Robimy co możemy — powie później w rozmowie Józef Rudnicki — wydaje się, że na dziś nie ma z tym już kłopotu...

Siedzimy w gabinecie I sekretarza Komitetu Dzielnicowego PZPR, Eugeniusza Grabowskiego. Za oknem widzę targowisko pełne ludzi...

— Przede wszystkim — mówi Eugeniusz Grabowski — musimy skoncentrować się na remontach starych domów. Mamy taką ulicę Zarzewską. Teren nie uzbrojony. Budować tam dziś nie można...

Tor kolejowy dzieli Dąbrowę na dwie części. Przed torem osiedle, za torem fabryki. Piękne fabryki. Niewątpliwymi powod do dumy. Nowoczesna architektura, nowoczesne maszyny...

Nie chodzi mi nawet o komunikację, bo buduje się już nad torem wiadukt i gdzieś za rok, może trochę dłużej ruszą wiaduktem tramwaje i autobusy...

Podstawowe: powierzchnia — 52,6 km kwadratowego, a więc jest to trzecia co do wielkości dzielnica Łodzi...

— Rod wieloma innymi względami Górna plasuje się gdzieś na trzecim, czwartym miejscu w Łodzi. Jeśli na przykład Śródmieście ma największe sklepy...

Nie ma tu swej siedziby ani jedna łódzka wyższa uczelnia, nie mieści się w dzielnicy żaden teatr. Ma wprawdzie Górna dwie wytwórnie filmowe...

g”, stanowiącą plon reporterskich penetracji fabryki. Centralne Muzeum Historii Włókiennictwa stale eksponuje swoje zbiory...

Stoję więc sobie na placu Niepodległości i patrzę na tłum przelający się przed Uniwersalem. Ze Rzgowskiej wyjeżdża tramwaj nr 2, za nim jedzie „dwudziestka” i „czwórka”...

Łódź nie ma szczęścia do dworców. Najnowocześniejszy jest bez wątpienia przystanek na Zabieńcu. Dworzec na Chojnach na taką nazwę nie zasługuje...

Coś trzeba będzie z tym „dworcem” zrobić, ale pilniejszą sprawą jest modernizacja dworca Łódź-Kaliska. Jak do tej pory wybudowano tylko osiedle, które nazywa się Chojny Dworzec...

Pawilony handlowe wybudowano też na Czerwonym Rynku. Miał tu wprowadzić byd dom towarowy, ale — jak to się mówi językiem inwestorów — wypadł i już nie wróci...

— To ładne osiedle — powiada mój znajomy, który Chojny zna jak własną kieszeń — ale od strony ulicy Władysława Broniewskiego zastoinię jest starymi, brzydkimi chałupami...

— Trzeba to będzie rozebrać — powiedział Józef Rudnicki. — Myślimy już o tym. — Z kinem „Roma”? — pytam.

jącego powstać w rejonie między ulicami: Tużyńska, Krakusa, Sanocka, Strycharska, które powstanie, jako uzupełnienie starego, jeszcze przedwojennego osiedla przy Bednarskiej...

— Pabianicką — powiada Józef Rudnicki — traktujemy jako rejon zabudowy niskiej. Najwyżej przy samej Pabianickiej powstałyby domy wysokie, ale to daleka przyszłość...

— „Z NICZEGO” USYPANO W ŁODZI 230-METROWĄ GÓRĘ. Ta góra „z niczego” to Góra Rudzka. Dowoził się tu jeszcze ziemię z wykopów...

Niedaleko buduje się na stadionie Rudzkiego Klubu Sportowego — klubu, który już ma 60 lat — halę sportową dla lekkoatletów. Będzie w niej bieżnia, stometrowa, będą inne urządzenia...

— Kilka lat temu — opowiada Janina Kalinowska, dyrektor Zjednoczonych Tkalni Jedwabiu „Brokat”, przewodnicząca Rady Dyrektorów — doszliśmy do wniosku, że każde przedsiębiorstwo może coś zrobić dla dzielnicy...

— Był łatwy. Nie wszyscy chcieli podjąć tę inicjatywę. Ale to już przeszłość. Teraz mamy

znakomity zespół. Działamy w porozumieniu z instancją partyjną i urzędem dzielnicowym. Pomagamy sobie i dzielnicy. Na przykład dzięki naszym staraniom ośrodek rehabilitacji kardiologicznej na Popiołach w Lesie Rudzkim otrzymał specjalistyczną ścieżkę zdrowia...

Oglądając rozbudowujące się stadiony „Tęczy” i RKS pomyślałem sobie, że w przyszłości Górna może stać się silnym ośrodkiem sportu...

— Mamy trochę inny zamiar — powiedział mi na to, — to nie jest jeszcze nic konkretnego, ot, takie nasze marzenie. Proszę popatrzeć na mapę...

— Nawet budynki dla prowadzenia zajęć dydaktycznych w tym rejonie by się znalazły — dodał Józef Rudnicki. — I akademik dla studentów też.

Ruch na placu Niepodległości zrobił się większy. Tramwaje jadą teraz przepelnione. Ludzie wyszli z pracy. Autobus linii „C” jadący na Dąbrowę niemal załam zamiata jezdnię...

Odjeżdżając z placu Niepodległości przypomniałem sobie jeszcze jedną informację o Górnej. Jest tutaj 16 przedsiębiorstw przemysłu lekkiego, 6 — elektrotechnicznego i maszynowego...

Właśnie autobus „A” stanął przed „Białą fabryką”, kiedy ruszy i minie Milionowa, wjeżdża do Śródmieścia.

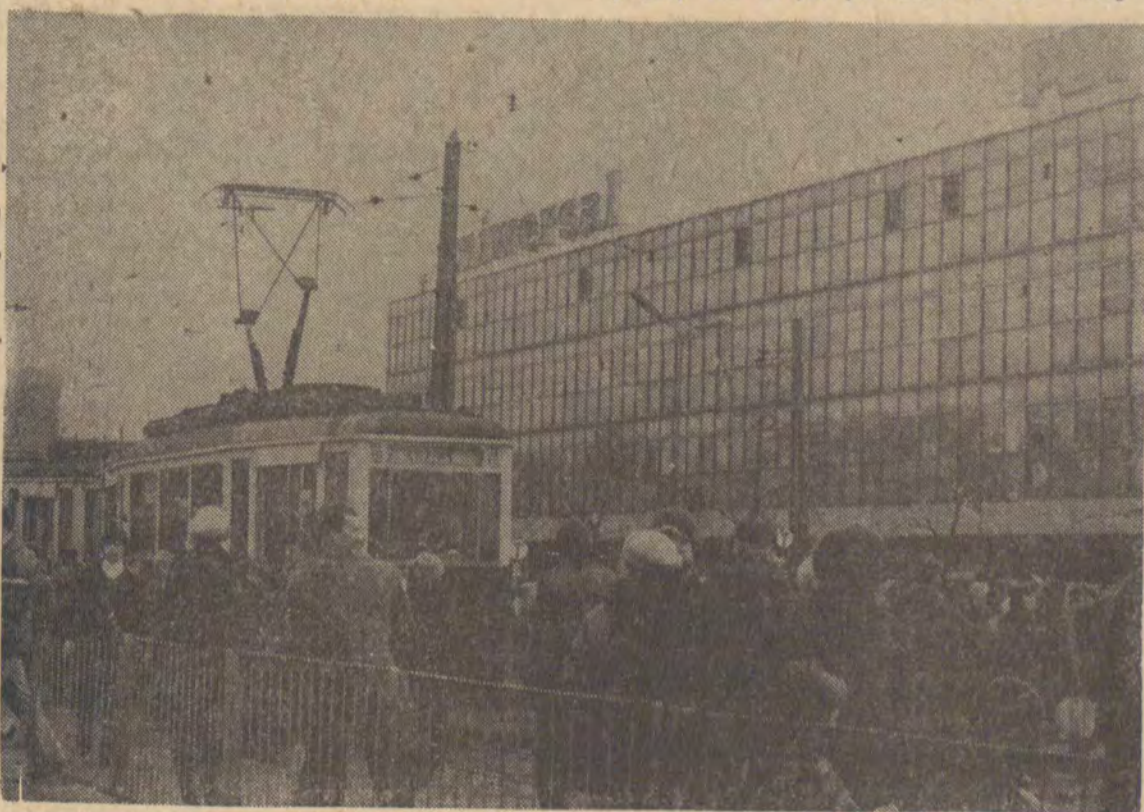


Foto: R. Łucyżyn

LUCIUSZ WŁODKOWSKI



Vasek Kania, Brygada szlifiera Karhana, inscen. Kazimierz Dejmek i Janusz Warmiński, reż. zespoła pod kierunkiem Jerzego Merunowicza. Prapremiera polska - 12.XI.1949. Od lewej - Kazimierz Dejmek, Stanisław Lapiński, Józef Pilarski, Jan Zieliński, Czesław Guzek.

Nie bez powodu daliśmy tej kolumnie tytuł „Nie tylko historia”. Ciągłe są żywe, przynajmniej w pamięci teatromanów, a i polityków, nawet najwcześniejsze spektakle Teatru Nowego, obchodzącego właśnie swoje trzydziestolecie.

Młody ten teatr, bo cóż jest trzydzieści lat w historii sceny, zdążył już obrosnąć legendą. Osobliwa to jednak legenda, której większość bohaterów żyje, tworzy. Być może tworzy legendy nowe...

Historia tego teatru jest ciągle żywa, bo jego teraźniejszości zawsze były ściśle związane z życiem, z rzeczywistością. Wiele roczników widzów pamięta więc ten teatr poprzez swoje życie, poprzez pamięć o swoich marzeniach, porażkach, sukcesach, poprzez to kiedy na wozie, a kiedy pod...

Prezentujemy dziś wybór fotosów z przedstawień, poczynszy od tego z 12 listopada 1949 roku. Wybór to sporny. Nie poprzez to, co zawiera, lecz poprzez to, co się w nim nie zmieściło. Ale i tak chyba będzie dostatecznym bodźcem do refleksji nad historią, która trwa.

Obyście zawsze byli na wozie (Terpsychory)!



Włodzimierz Majakowski, Łaźnia, inscen. i reż. Kazimierz Dejmek. Prapremiera polska 11.XII.1954. Od lewej - Wojciech Pilarski, Janusz Kłosiński.



Jerzy Andrzejewski, Ciemności kryją ziemię, inscen. i reż. Kazimierz Dejmek. Prapremiera 29.XI.1957. Od lewej: Michał Pawlicki i Seweryn Butrym.



Juliusz Słowacki, Sen srebrny Salomei, reż. Tadeusz Minc i Witold Zatorski. Premiera 10.XI.1966. Od lewej - Ryszard Stogowski, Ryszard Dembiński, Jan Tesarz, Wanda Chwiłkowska, Wojciech Pilarski.



Mikołaj Rej, Żywot Józefa, reż. Kazimierz Dejmek. Prapremiera 6.IV.1958. Od lewej - Barbara Rachwałska i Bogdan Baer.



Mikołaj z Wilkowiecka, Historia o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim, oprac. dramaturg, inscen. i reż. Kazimierz Dejmek. Premiera 16.XII.1961. Od lewej: Bohdana Majda, Hanna Bedryńska, Barbara Rachwałska, Zygmunt Zintel, Zofia Petri.



Jerzy Andrzejewski i Jerzy Zagórski, Światło Winkelrida, inscen. i reż. Kazimierz Dejmek. Premiera 14.IX.1956. Scena zbiorowa, na pierwszym planie Andrzej Szalawski.



Dialogus de Passione (wersja ID, anonimowe teksty XV, XVI i XVII-wieczne) łożyl Kazimierz Dejmek. Premiera 5.III.1977. Od lewej - Róża Czapiewska i Bogusław Sochnacki.



Witold Gombrowicz, Oporetka, inscen. i reż. Kazimierz Dejmek. Prapremiera polska 13.IV.1973. Scena zbiorowa.



Sławomir Mrozek, Vazlav, inscen. i reż. Kazimierz Dejmek. Prapremiera 21.IV.1973. Od lewej - Bogdan Baer, Andrzej May, Marian Stanisławski.

przypomnieć, co miała zrobić. Siedziała, żeby się uspokoić i zebrać myśli, ale czuła przeraźliwą pustkę w głowie, a serce ciążyło w piersi jak kamień.
Nie wiedziała, jak pomóc sobie i zaczynała się modlić:

WŁADIMIR MAZURIN WYJAZD

— Najświętsza Bogurodzico — szeptała cicho — nie opuszczaj mnie, daj mi przeżyć tę zimę, daj umrzeć w domu rodzinnym. Przecie wszyscy tu umierali — matka i ojciec, bracia i siostry. A tam, wśród obcych — strasznie umierać. Wszyscy nasi tu pochowani, nie pozwól, żebym gdzieś daleko od nich leżała...
Wyszła Katarzyna przed dom, siedziała na ławeczce. Tuż za ogrodem za-

czynwały się gumna, za nimi rozpostierały się pola i ciągnęły się aż do samego lasu. Dom Katarzyny stał na skraju wsi. Wieś tutaj się zaczynała, a właściwie mówiąc — kończyła. Dalej, ku zachodowi, ciągnęły się łąki, które teraz były szare i puste, ale Katarzyna pamiętała, jak one wyglądały na wiosnę w gestwie traw osypane jaskrawym kwieciem.

To był cały jej świat, widziany i pamiętany przez całe życie. Czy chociaż raz miała ochotę przekroczyć jego granice? Nie, nie miała na to ochoty. A dlaczego? Po prostu, gdzie się urodziła, tam się przygodziła. Stare przysłowie...

W przeddzień wyjazdu Katarzyna przyszła do Darii pożegnać się i poprosiła, żeby ta doglądała jej chaty.
— A czegoż bym miała nie popilnować — zgodziła się od razu Daria.
— Popilnuję, nawet tam nie myśl o niej.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Co prawda, na co by się ona komu zdała, ta moja chata, ale różnie bywa... Dzieciaki mogą okna wybić, albo z dymem puścić...
— Co ty wygadujesz, wypływ to słowo — uspokajała ją Daria. — Ca-

ły dzień się po obejściu kręcę, to przecie zajrzę i do ciebie.

Umilkły obie. Mogły siedzieć i milczeć godzinami — niewiele miały sobie do powiedzenia. Całe życie spędziły razem.

Katarzyna pierwsza nie wytrzymała, iza zaćmiły jej oczy.

— Nigdy nie myślałam, że przed śmiercią trzeba będzie zostawić tak wszystko. Jedno, o co się modliłam, to umrzeć spokojnie w swoim domu i żeby mnie pochowano obok ojca i matki.

Niczego się na świecie nie boję, tylko tego jednego, że umrę tam, w mieście. A przecież — nie będą mnie tu wieźli, tam pochowają, wśród obcych.

— Oj, nie, nie przywiózę — westchnęła ciężko Daria. — Ale Bóg miłościwy, poprawi ci się i wróciysz.

— Boję się, Dariusza, ach, jak się boję! Serce mi ciągle w piersiach ustatka.

— Ty teraz więcej myśl o wnuczkach, a nie o swoim sercu.

— Masz rację, masz rację...
Pożegnały się sucho, jak przystało staruszkom, bez wylewnych czułości. — Bóg da, może się na wiosnę

zobaczymy — pożegnała ją Daria.

Nazajutrz Katarzyna obudziła się skoro świt, jak budziła się w ciągu całego swego życia. I pierwsza myśl — już nie trzeba nic robić, ani w piecu palić, ani po wodę iść. Tak ciężko jeszcze jej nigdy nie było. Czas stał bez ruchu.

W chwilę potem obudził się kot. Powoli wyszedł na środek izby, wyciągnął łapy, poostrzył pazury o chodnik i ziewnął szeroko.

— Matko święta — zatrwożyła się Katarzyna — zupełnie o tobie zapomniałam. Co z tobą zrobić, przecie zginiesz tu, jak nic.

Pomyślała, czy nie dać go Darii, ale wiadomo, że kot w obcym domu mieszkać nie zechce, a wziąć go ze sobą w podróż, do miasta Katarzyna nie miała odwagi. Może tam będzie komu przeskadzał?

— Wypuszczę cię z chaty, może w końcu do kogoś pójdziesz. Kot patrzył na nią litościwie. — Jak będziesz głodny, to pójdziesz.

Autobus przyjeżdżał dopiero o drugiej. Nie wiedząc, co ze sobą począć, Katarzyna usiadła przed oknem i zapatrzyła się na ulicę. Lubiła tak siedzieć i mając przed oczyma znajo-

my świat, wspominać swoje życie. Tak... Niby się wszystko zmieniło na lepsze, a szczęścia nie ma. Córkę jej rzadko się ze sobą widują, a żeby tak zebrać się razem, całą rodziną, usiąść przy jednym stole — o tym Katarzyna nawet marzyć sobie nie pozwalała. Czuła tylko, że gdyby tak się kiedyś stało, leżby jej umierać było. W ostatniej chwili przed wyjściem z domu Katarzyna podszła do ściany i zatrzymała zegar. Cisza, jaka nastąpiła — przeraziła Katarzynę. Czym prędzej wyszła, ale na progę odwróciła się i schyliła głowę w ostatnim poklonie.
Katarzyna wyszła do sieni, zawołała kota i szczerze zamknęła za sobą drzwi. Gdy zamykała na klucz drzwi wejściowe, długo nie mogła trafić kluczem do zamka, tak trzęsły się jej ręce.

Ulica prowadząca do autobusu usiana była rudobrazowymi liśćmi jesieni. Idąc na przystanek Katarzyna odwróciła się tylko jeden jedyny raz — zobaczyła ciemne okna swego opuszczonego domu.

Przekład:

SABINA NOWICKA-KOCZNOW

GIENNADIJ SERIEBRIAKOW

ŁABĘDZIE

Lubię łabędzie
Zimne i czyste jak poranna Ładoga.
Lubię łabędzie
Za zwiewność ustępującej wody.
Lubię łabędzie —
One rosą z lilii,
Są jej płodem.
Od lat dziecięcych ukrytych w legendzie
Wciąż jeszcze słucham łabędzi jak fletu.
I teraz rozumiem —
Bajarz był po prostu poeta.
Gdy mówił, sam w cudowności te wierzył
I dawał je ludziom, jak tajemną wiedzę.
Wierzę, że w toni porannej jeziora,
Z zimnych i czystych jak śniegi lilii
Dumne ptaki się rodzą w chwili,
Gdy rzeki spływają z błyskawic.
Widzę je zawsze nad koronąką falli.



Lubię łabędzie
Niedostępne i piękne
Jak dzieciństwo
Zostawione w dale.

Przełożył: WASYL KOCZNOW



Prapoczątek człowiek swój bierze
Z pieczęcią matki i ojca...
Ledwie poczuci szukamy piersi
Z malinową, twarogą sutką.
Piers jak dzban.
Piers krągła jak glob.
Poznajemy ziemię
Życiem kipiącą
Poruszając wargami.
Unoszą nas czule ręce
Kołysząc z lekka,
A życie
Życie wisi na strzyczce
Na cienkiej strzyczce mleka.
I rośniemy i śmiejemy się i trafia się płacz.
Dla matki każde dziecko jest drogic...
Jedni w dziedzictwie dostają wille,
Inni — świat dalekich gwiazd.

Przełożył: MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN



Znów okręty wśród morskich prądów
Śnią mi się białe i wielkie jak góry.
Wciąż do mnie płyną poprzez czasu chmury,
Lecz nigdy nie dobiją do łądu.
Płyną do mnie z błękitnej kraiiny,
Która inni nazywają dzieciństwem.
Zawiało pyłem drogę do niej wszystkie.
Okręt mój ma błyszczące kominy.
Nie sadzone mi być marynarzem.
Nie hede dróg swych mierzył w morskich milach.
Na nabrzeżu nie powita mnie miła.
Więc sobie czasem tylko pomarzę.
Teraz muszę reportaży zaczynać,
O budowie, gdzie plan jest zagrożony.
I przychodzi, chociaż staram się bronić,
Ta wstrętna, dziennikarska rutyna.
Moja kieszeń znów świećki pustkami,
Trzeba będzie to wierszówką nadrobić.
Po co się martwić? W domu wszyscy zdrowi.
A okręty śnią mi się nocami.

W. S. Tlukow

Przełożył:
KONRAD FREIDLICH

WŁODZIMIERZ DOGADAJEW

WIECZÓR

Wieczór, nad polami wisząc,
Oblok za oblokami goni.
Mkną zza lasu postrzępione,
Niskich dotykając dzwonnice.

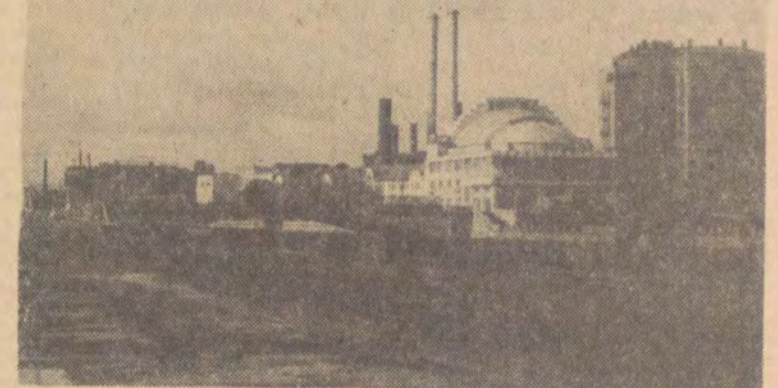


Foto: J. Indelak

Targa wiatr grzywa trawiającą
Nad stogami rudymi jak miedź...
Dobrze ponad szarą ziemią
Nieustannym wiatrem huczeć.

Zbudzić, wpadłszy niespodzianie,
Ciszę dali poszarzałej.
Uporczywie w chmury zbijając
Obłoki ciężkie, nabrzmiące.

Lunąc, przemierzysz dale
Spać, piorunami tomocząc,
Kropkami grubymi w rozpedzie
W ziemię stwardniałą kołacząc.

Przełożyli:
MALGORZATA i TOMASZ SOLDENHOFF

ANATOLIJ ILICZEW

LOT MIROŚŁAWA

Dojrzały zboża
W Rosji
I w Polsce.
Na ziemi, co z trudu ludzkiego wyrosła.
Wtedy świat się dowiedział. Powtarzano wszędzie
Imię najważniejsze: Mirosław.
Świat śpiewał po rosyjsku,
Po polsku —
Słowiańskie słowa.
I kwiatów nie mogło zabraknąć.
Cały świat kwiaty hodował.
Wśród gwiazdozbiorów rozblęśla Mirosława
Gwiazda najpierwszej urody.
Na orbite wyniosła ją sława
Czystym światłem łącząc narody.
Przeciw wojnie, przeciw przemocy
Ten blondyn (po rosyjsku: rus)
Wypatrywał swej gwiazdy wśród nocy,
Zanim wleciał ku niebu „Sojuz”.
Wolają gazety, ekrany. Szczęśliwy jestem,
Ze powtórzy Wiśła
Rosyjsko-polskie brzmienie:
Gagarin-Hermaszewski.
Mirosław.

Przełożył:
KONRAD FREIDLICH

Kładziemy ogromny nacisk na solidne przerebowienie kursu filologii. Jako kierujący seminarium, podobnie jak moi inni koledzy pisarze, dzielę się ze słuchaczami w szczyrych rozmowach swoimi refleksjami odwołując się do doświadczenia rosyjskiej i światowej literatury, także radzieckiej. A wykładowcami są u nas znani pisarze, nierzadko absolwenci instytutu, że wy-

ważniejszych zasad wyrabiania smaku estetycznego. Młodzi pozostają często pod wpływem doświadczeń kolegów, znanych autorów, ale ta zależność nie jest dobra, bo trzeba szukać własnych dróg. Oczywiście można i należy uczyć się od mistrzów, ale trzeba wyzwolić się od zależności, trzeba znaleźć własny wyraz.
— A czy może pan się pochwalić jakimiś wy-

Buriatka Galina Radnajewa, Czerkies Kirim Mchec oraz Kumyk (to taka mała liczna nacja) Ataj Atajew.

Nasi absolwenci pracują po skończeniu studiów w prasie, radiu i telewizji, a potem przechodzą do „klasyki” rezygnując z etatów, wola utrzymywać się z pisania. Śledzę losy absolwentów, gdyż utrzymuję z nimi osobiste albo korespondencyjne kontakty. Na ogół sprawdzają się jako pisarze.

— Jakże wywozi pan wrażenia z Polski, a zarazem — czy jest to pana pierwsza wizyta w naszym kraju?

— Nie licząc roku czterdziestego piątego, kiedy to w żołnierskim mundurze wyzwałem Toruń. Sopot, Świnoujście, jest to moja trzecia wizyta. Widziałem na własne oczy ruiny Warszawy, kiedy przedstawiałem się z Dworca Zachodniego na Wileński i nawet zwatpiłem, czy kiedykolwiek uda się odbudować stolicę Polski. Kiedy ponownie znalazłem się w Warszawie, już w podróży literackiej a był to rok 1966, zaprowadzono mnie na Stare Miasto. Zrobiło mi się jakoś lekko na sercu, gdy zobaczyłem mury odbudowanej Warszawy.

— Przejdmy do spraw bardziej osobistych i proszę wybaczyć mi banalność tego pytania.

nad czym pan obecnie pracuje, jakich pańskich nowych książek możemy oczekiwać w najbliższym czasie?

— Ukończyłem właśnie książkę zatytułowaną „Tajemnice poezji”. Są to eseje krytyka o laboratorium języka. Zakończyłem także prace redakcyjne nad wyborem moich artykułów, które drukowałem w prasie radzieckiej w latach siedemdziesiątych. Złożyłem także wydawcy książkę pod nazwą „Abecadło wiersza”, której tytuł mówi sam za siebie.

W ogóle piszę dość dużo, nie zawsze rzeczy przeznaczone do druku, bo listownie odpowiadam poetom na książki, które przysyłają mi do oceny. Niekiedy listy te mają charakter otwarty i wtedy ogłaszam je w prasie. To zaczyna na nową książkę o poezji.

— Zycze panu owocnych obrad na sesji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Literackich w Paryżu i dziękuję w imieniu czytelników „Odgłosów”, że znalazł pan czas na tę rozmowę. Wydaje mi się ona istotna dla obrazu współczesnej poezji radzieckiej.

Rozmawiał:
KONRAD FREIDLICH

JĘZYK POEZJI

mienie Eugeniusza Dołmatowskiego, Eugeniusza Winokurowa, którzy prowadzą seminaria poetyckie.

W naszej pracy z młodymi ogromne znaczenie posiada problematyka rozbioru utworów wychowanków, w czym oni sami biorą aktywny udział. Moja rola, rola pedagoga polega nie tylko na tym, żeby im wskazać „łabości” analizowanego tekstu, ale także wytłumaczyć dlaczego coś jest złe pod względem literackim, albo dlaczego jest dobre. Jest to jedna z naj-

ważniejszych zasad wyrabiania smaku estetycznego. Młodzi pozostają często pod wpływem doświadczeń kolegów, znanych autorów, ale ta zależność nie jest dobra, bo trzeba szukać własnych dróg. Oczywiście można i należy uczyć się od mistrzów, ale trzeba wyzwolić się od zależności, trzeba znaleźć własny wyraz.

— A czy może pan się pochwalić jakimiś wy-

ważniejszych zasad wyrabiania smaku estetycznego. Młodzi pozostają często pod wpływem doświadczeń kolegów, znanych autorów, ale ta zależność nie jest dobra, bo trzeba szukać własnych dróg. Oczywiście można i należy uczyć się od mistrzów, ale trzeba wyzwolić się od zależności, trzeba znaleźć własny wyraz.

— Przejdmy do spraw bardziej osobistych i proszę wybaczyć mi banalność tego pytania.

W ubiegłym miesiącu kursy papierów wartościowych na giełdach krajów kapitalistycznych gwałtownie spadły. W kołach finansowych narastająca niepewność szybko przekształciła się w panikę. Prasa amerykańska natychmiast porównała te wydarzenia z kryzysem, który wstrząsnął giełdą nowojorską w październiku 1929 roku. W owym czasie nagły spadek kursów papierów wartościowych obwieścił nadejście kryzysu, który na kilka lat sparaliżował ekonomiczną maszynę świata kapitalistycznego.

Obecne wydarzenia są symptomem chwiejności ekonomiki świata zachodniego, a przede wszystkim jej systemu walutowo-finansowego. Ekonomisci wiążą te wstrząsy z decyzją Federalnego Systemu Rezerw USA o podwyższeniu bankowej stopy dyskontowej, tzn. procentu, który banki doliczają do udzielanych kredytów. Ta decyzja o podroźeniu kredytów bankowych wpłynęła negatywnie — jak oceniają eksperci — na stan aktywności handlowej w USA, wywołując zmniejszenie inwestycji budowlanych, spadek produkcji przemysłowej i obniżenie poziomu konsumpcji mas pracujących. To, co w październiku działo się na giełdzie pieniężnej w Nowym Jorku, określił maklerzy paniką, 10 października był najgorętszym dniem w historii Wall Street. Po komunikacji a antyinflacyjnych decyzjach rządu USA, rekordowa ilość akcji zmieniła właścicieli. Akcjonariusze ogarnięci niesłychaną paniką, pragnąc jak najszybciej pozbyć się swoich akcji, przypuścili szturm na giełdę i półtorej godziny przed zamknięciem giełdy padł rekord ilości sprzedanych akcji w całej historii istnienia nowojorskiej giełdy pieniężnej — 81.620 tysięcy akcji zmieniło swoich właścicieli! Transakcji dokonywano w tak obłędnym tempie, że nawet najszybsze monitory nie raz z ponad godzinny opóźnieniem podawały wciąż zmieniające się notowania giełdy. Kurs leciał z godziny na godzinę, ba — z minuty na minutę. „Giełdę pie-

mysłowych. Roczna produkcja złota — około 1.400 ton, przede wszystkim w Południowej Afryce i w Związku Radzieckim — starcza zaledwie na pokrycie emisji monet, produkcji wyrobów jubilerskich i potrzeb przemysłu. Koła bankowe w Szwajcarii wyrażają pogląd, że na świecie odczuwa się w ogóle ogromny deficyt tego metalu.

W zaistniałej sytuacji głęboki spadek ekonomiczny w krajach zachodnich jest całkiem realny. Stany Zjednoczone, RFN, Wielka Brytania i inne wielkie kraje świata zachodniego zaczynają podejmować kroki zmierzające do zahamowania wzrostu inflacji drogą podrażnienia kredytów bankowych, usiłując w ten sposób ograniczyć kredytowanie. „Problem polega jednak na tym — ostrzega publicysta „Newsweeku” — że zarówno Stany Zjednoczone, jak i ich sojusznicy mogą łatwo przekształcić stosunkowo lekki spadek w głęboką depresję”. W warunkach zaostrzających się trudności ekonomicznych w krajach kapitalistycznych ujawniają się tarcia i rozbieżności między głównymi partnerami, zwiększa się konkurencja i protekcjonizm.

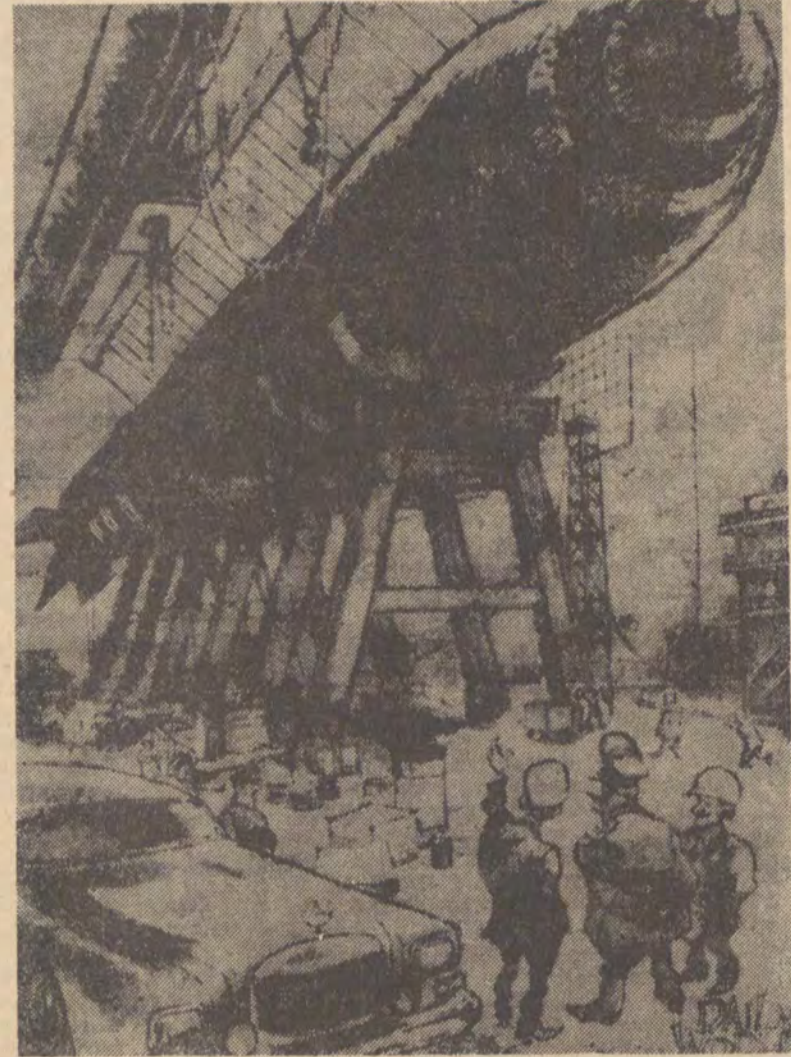
Sredni poziom inflacji w krajach należących do Organizacji Gospodarczej Współpracy i Rozwoju (OECD) wynosi 8,5 proc. Wzrost produkcji w większości z nich nie przewyższa 2 proc. rocznie. Ponadto kolejną podwyżkę cen na naftę najmocniej odczuły kraje niezamożne. Zadłużenie większości rozwijających się krajów osiągnęło taką skalę, że zdolne jest do zrujnowania nawet silnych systemów finansowych. Z wyjątkiem Arabii Saudyjskiej i Emiratów Arabskich Zatoki Perskiej, można to samo powiedzieć o większości krajów eksportujących naftę. Przeżywiają one duże trudności ekonomiczne, które są konsekwencją przede wszystkim zaoferowania i burzliwego wzrostu liczby ludności.

Jeśli dziś w tej kryzysowej sytuacji całą uwagę skoncentrowały kraje świata zachodniego na Stanach Zjednoczonych, to wcale nie dlatego, że zdumiewa je oglądanie mieszkańców tego bogatego mocarstwa godzinami wystających w kolejkach przed stacjami benzynowymi, lecz dlatego, iż wszystko co wydarza się w USA, odbija się głośnie echem we wszystkich krajach znajdujących się w orbicie ich wpływów. Kraje członkowskie NATO i ASEAN (Association of South East Asian Nations — Stowarzyszenie Narodów Południowo-Wschodniej Azji — red.), wszystkie kraje zachodniej półkuli, tzw. umiarkowane reżimy arabskie — wszystkie one w mniejszym, lub większym stopniu są uzależnione od USA. Zależność ta polega przede wszystkim na tym, że cała ekonomika kapitalistycznego świata zależy od stanu zdrowia amerykańskiego dolara i po wtóre, że ogromną rolę w gospodarce Zachodu odgrywiają amerykańskie międzynarodowe monopole, goniące za maksymalnym zyskiem.

Szkok wywołany wzrostem cen na naftę dopadł Stany Zjednoczone w momencie, gdy — jak określa to komentator gospodarczy w londyńskim „The Economist” — już się „zachwiała”. Obserwatorzy, oceniając stan gospodarki USA, wahają się, jakiego z dwóch sformułowań: „stagnacja”, czy „spadek” dać pierwszeństwo. Poziom inflacji, która wynosiła 6 proc. w początkach 1977 roku, podniósł się dziś do 14 procent. Deficyt handlowy osiągnął w czerwcu prawie 2 i pół miliarda dolarów. Oczekuje się także, iż do nowego roku liczba bezrobotnych wzrośnie od 1 do 2 milionów. Ale przecież burżuazyjni ekonomisci i politycy utrzymywali zawsze, że Stany Zjednoczone są państwem, w którym niczym nie ograniczone działanie praw rynku gwarantuje rozwój i dostatek społeczeństwa.

Wśród czynników zaostrzających ekonomiczne problemy Zachodu są dwa, o których jednak przywódcy krajów zachodnich nie lubią mówić. Pierwszy, to kurs na wyścig zbrojeń. Pod naciskiem Waszyngtonu kraje NATO, na sesji w końcu ub. roku, podjęły decyzję o zwiększeniu każdego roku swoich wydatków na zbrojenia o 3 proc. Stanowi to ogromne sumy, które obciążają ekonomikę krajów kapitalistycznych. Drugi czynnik — to dyskryminacyjne decyzje ograniczające handel krajów kapitalistycznych ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami wspólnoty socjalistycznej. W ten sposób Stany Zjednoczone nie tylko „eksportują” spadek ekonomiczny, ale także przekazują swoim sojusznikom w dysponowaniu środkami, które mogłyby tę sytuację osłabić. Groźba nowego ekonomicznego kryzysu, o którym niedawno — nazywając go spadem — pisali eksperci Międzynarodowego Funduszu Walutowego, z każdym dniem staje się coraz bardziej realna.

JERZY CZECH



Przedstawiciel amerykańskich zakładów zbrojeniowych do generała wojsk lotniczych USA:
— Takich dziesięć rakiet wystarczy do wysadzenia w powietrze tej całej cholernej planety. Ale jeżeli ministerstwo złoży do nas zamówienie na pięć tysięcy takich rakiet, to może liczyć na duży rabat... („Daily World”)

NOWA GORĄCZKA ZŁOTA

nieżną ogarnęła panika z powodu rekordowo wysokich stawek procentowych i rekordowo małej wiary w wiodącą rolę Ameryki” — powiedział reporterowi agencji UPI wiceprezes kompanii „Wheater, Reynolds Incorporated”, a minister finansów USA uprzedził, że „nie ma szybkiego lekarstwa na inflację i że spadek ekonomiczny w Stanach Zjednoczonych jest wciąż jeszcze w apogeum”.

Ale określenie „panika” było zbyt słabe, żeby oddać przerażenie, jakie ogarnęło rynki finansowe w całym zachodnim świecie. Gorączka złota stała się nagle zagrażającą zaraźliwą: ludzie interesu ze świata arabskiego i szwajcarscy bankierzy, spekulanci giełdowi z Londynu i Nowego Jorku podnieśli ceny na szlachetne metale do poziomu, który przedtem uważano za niemożliwy. W ciągu dostawnie kilku godzin złoto w Londynie podrożało o 27 dolarów za uncję, a po dwóch dniach jeszcze o 16 dolarów. Wszystko to nie przypominało nawet zwykłej giełdy, a rzecz w tym, że tym razem nie było sprzedawców — byli tylko nabywcy. Ostatnia pogoń za sztabkami złota pobiła wszelkie rekordy. Cena na złoto wzrosła o 63 proc. od początku tego roku i, bijąc notowania jedno po drugim, osiągnęła zawrotny wyziny: 386 dolarów za uncję.

Część specjalistów uważa, że gwałtowny wzrost cen na złoto, jaki nastąpił w ciągu ostatnich kilku tygodni na rynkach światowych, rozpoczął się, kiedy grupa wielkich inwestorów postanowiła przyhamować inflację, wymieniając część swoich kapitałów w walucie papierowej na złoto, które uważa za najpewniejszą walutę świata. Wśród nabywców znalazły się także, co jest regułą, konserwatywne instytucje, jak trzy wiodące szwajcarskie banki oraz Deutscher Bank — najpotężniejszy bank Zachodnich Niemiec. Gorączka złota szybko ogarnęła drobnych spekulantów, głównie w Stanach Zjednoczonych. W miarę wzrostu popytu na złoto, nie było praktycznie możliwości podtrzymywania jego podaży na rynku. Podstawowa masa sztab złota na świecie jest „zamrożona”, jako część rezerw walutowych wiodących krajów prze-

Meksyk i Kostaryka, Jordania i Syria były ostatnio celem odwiedzin i politycznych rozmów — w pierwszych dwóch przypadkach prowadzonych przez przewodniczącego Rady Państwa — H. Jabłońskiego, w dwóch pozostałych — przez min. Spraw Zagranicznych — E. Woźniaka. W rozmowach, na co wskazują opublikowane komunikaty, prócz tematów bilateralnych podejmowano również międzynarodowe. Wszędzie dyskutowano o kierunku dalszego odprężenia, podkreślając zwłaszcza konieczność zahamowania wyścigu zbrojeń i przejścia do procesu rozbrojenia.

„Obie strony stwierdziły — czytamy np. we wspólnym komunikacie polsko-kostarykańskim, aby posłużyć się tekstem dopiero co opublikowanym — iż w świetle aktualnej sytuacji międzynarodowej priorytetowym zadaniem jest powstrzymanie i ograniczenie wyścigu zbrojeń nuklearnych i konwencjonalnych i wejście na drogę rzeczywistego rozbrojenia, tak, aby odprężenie militarne uzupełniało odprężenie polityczne”.

Omawiane przykłady z ostatnich dni potwierdzają naszą aktywność międzynarodową, której celem jest wniesienie wkładu w proces pozytywnych przeobrażeń. O stanowisku Polski w sprawie rozbrojenia przypominają opublikowane właśnie WYTYCZNE KOMITETU CENTRALNEGO NA VIII ZJAZD PZPR, zatytułowane: „O dalszy rozwój socjalistycznej Polski, o pomyślność narodu polskiego”. Powtórzmy:

- udzielamy pełnego poparcia dla radziecko-amerykańskiego porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych,
- dążymy do umocnienia systemu nierozpowszechniania broni nuklearnej,
- działamy na rzecz zakazu broni bakteriologicznej i chemicznej,
- konsekwentnie zmierzamy do wypracowania w toku rozmów wiedeńskich porozumienia o ograniczeniu sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej na zasadach nieumniejszania bezpieczeństwa żadnej ze stron,
- bierzemy czynny udział w wypracowywaniu wspólnych inicjatyw i propozycji, mających na celu rozbrojenie i wzrost wzajemnego zaufania, czego najnowszym przykładem propozycje, zgłoszone przez L. Breżniewa w Berlinie.

Terenem naszego szczególnego zainteresowania jest kontynent europejski, ale „wychodząc” założenia, że pokój i odprężenie są niepodzielne, Polska konsekwentnie występuje na rzecz likwidacji wszelkich ognisk zapalnych i konfliktów, w szczególności w Azji Południowo-Wschodniej, na Bliskim Wschodzie i w Afryce”.

Wytoczne głoszą:
„W latach osiemdziesiątych Polska nadal będzie twórczo realizować podstawowe założenia określające poli-

tykę zagraniczną minionego trzydziestolecia. Będziemy nadal uczestniczyć w kształtowaniu korzystnych pokojowych warunków zewnętrznych dla pomyślnego rozwoju wszystkich dziedzin materialnego i duchowego życia narodu”.

Wytoczne na VIII Zjazd PZPR przyjęte zostały z zainteresowaniem przez prasę światową, która zauważa konsekwentność, z jaką Polska prowadzi swą politykę zagraniczną. Na Zachodzie wciąż dyskutowane są berlińskie propozycje L. Breżniewa. Ożywiał się jednakże głosy, aby nie rezygnować w rozmieszczenia w Europie Zachodniej nowych rodzajów rakiet. Koła, forsujące tę koncepcję, są też autorem zaprobowanego niedawno w USA planu utworzenia tzw. sił szybkiego reagowania, które mają być używane na Bliskim Wschodzie, w Azji Południowo-Wschodniej, w Af-

KRONIKA TYGODNIA

ryce, a więc tam, gdzie rozwój wydarzeń przyjmuje niepożądany obrót dla Stanów Zjednoczonych.

Wojska „szybkiego reagowania”, współpracujące z różnymi rodzajami broni, mają liczyć ponad 100 tys. żołnierzy.

„Prawda”, komentując tę decyzję, pisze, że u źródła zamierzenia leży ożywienie pewien odłam amerykańskich kół rządzących dążenie do ponownego zaktywizowania działalności tego kraju w roli „światowego żandarma”.

Próba nawrotu do polityki kanonierek niesie potencjalne niebezpieczeństwo. W 1964 roku Waszyngton zaczął od niewielkiej prowokacji w Zatoce Tonkińskiej u wybrzeży Wietnamu i szybko ugrzązł w długiej i dużej awanturze wojennej. Czy to doświadczenie nie powinno pozostać w pamięci?

Piszemy o fakcie tworzenia jednostek „szybkiego reagowania” jako o przykładzie utrzymującej się w niektórych kołach tendencji do przeszkodzenia odprężeniu militarnemu, o które tak usilnie zabiega polityka krajów wspólnoty socjalistycznej i co jest warunkiem dalszego pokojowego postępu w świecie.

W. SŁAWSKI

PRZESŁUCHANIE

RODEZJA



W Rodezji — „przesłuchiwanie” partyzantów przez żołdaka armii regularnej

Literatura fantastyczno-naukowa (określana czasem u nas angielskim terminem science fiction; tu będę używał skrótów FN) staje się coraz żywszym i coraz bardziej znaczącym nurtem współczesnej literatury światowej. Ze względu na swój zasięg, poczytność i możliwość oddziaływania stanowi ona godne uwagi zjawisko społeczne.

Prawdziwy rozwój FN nastąpił w gruncie rzeczy dopiero w drugiej połowie XX wieku — literatura ta towarzyszy rewolucji naukowo-technicznej, jest — jeśli można tak powiedzieć — zarazem jej produktem i wyrazem. Niewątpliwie reprezentuje w pewien określony sposób problemy współczesnej nauki i techniki i wyraża społeczne oczekiwania, nadzieje i niepokoje z nauką i techniką związane. Nie bez powodu łączą FN ze współczesną nauką, choć przecież fantastyka naukowa zajmuje się na ogół problematyką przyszłości, bliższej i dalszej. Jednak, po pierwsze, wszelkie pomysły — również te zupełnie fantastyczne — tkwią korzeniami w ustaleniach wiedzy dzisiejszej i jeśli są dla nas fantastyczne, to właśnie na zasadzie sprzeczności z tymi ustaleniami albo też przez doprowadzanie pewnych realnych możliwości do form absolutnie skrajnych.

Po drugie zaś — większość tego, czym zajmuje się FN, wyrasta właśnie z naszych dzisiejszych wyobrażeń na temat możliwości nauki i techniki i inaczej być nie może. W tym sensie FN, jak każda literatura (może trzeba uściślić dla pedantów: dobra FN, jak każda dobra literatura), jest zwierciadłem swojej epoki — i fakt ten w zupełności powinien wystarczać, by wzbudzić zainteresowanie krytyków, socjologów, naukowców, psychologów społecznych, badaczy kultury, w ogóle tych wszystkich, którzy chcą poznać oblicze współczesności.

Zanim spróbuję bliżej określić, na czym, moim zdaniem, polega przyciągająca siła fantastyki naukowej i jakie jej wartości są godne poparcia, myślę, że należy się zastanowić przez chwilę nad jej gatunkową odrębnością. Jest ciekawe, że znawcy science fiction, zaś próby jej określenia są nader różne, dostrzegane związki z innymi rodzajami literatury bardzo rozległe. Za niewątpliwie uznano na przykład związki z utopią (zresztą niektórzy w ogóle włączają utopię w nurt FN) i jak wspomniałem z baśnią, powieścią grozy, wreszcie z literaturą podróżniczo-przygodową. (...)

Bardzo trafnie, moim zdaniem, wskazał pewną istotną cechę gatunkową FN Konrad Fiałkowski (profesor nauk komputerowych, zarazem znany autor fantastyki naukowej) — w referacie na II Europejskim Kongresie FN w Poznaniu w 1976 r. Otóż dobra science fiction postuluje się modelem zapożyczonym od nauki: utwór FN jest pewną strukturą, której założenia mogą być dowolne (realne lub wymyślone przez autora), ale wywiedziona z nich konstrukcja musi być spójna i niesprzeczna wewnętrznie. W ten sposób buduje się hipotezy naukowe — z tym, że muszą one być jeszcze weryfikowane, czego fantastyka z definicji nie wymaga. Weryfikatorem dla FN dzisiejszej — dodam — okazał się przyszłość, tak jak weryfikatorem dla dawniejszej FN okazała się teraźniejszość.

Fantastyka naukowa — powiada Fiałkowski — jest mozaiką modeli rzeczywistości pomysłowych, stanowiących przybudówkę modelu rzeczywistości realnej, którym jest nauka. Owe rzeczywistości pomysłowe — choćby najbardziej niezwykle i fantastyczne — w szanującej się FN muszą jednakże podlegać pewnym regułom, powinny być konstruowane tak, jak konstruuje się naukowy model rzeczywistości. W praktyce nie zawsze tak jest — ale, jak już parę razy podkreśliłem, jak już parę razy przed wszystkim dobrą literaturą gatunku FN i do dobrej tylko literatury FN odnoszą się powyższe określenia.

Współczesna fantastyka naukowa związana jest bardzo ściśle, jak już napisałem, z rewolucją naukowo-techniczną i w znacznej mierze zajmuje się problemami przez tę rewolucję zrodzonymi. Ale też ma FN tradycje bardzo stare, konseksje bardzo dobre, zaś za prekursorów często wielkich pisarzy. Wprawdzie im dawniej, tym bardziej przeważał element fantastyki — ale zawsze fantastyki opartej na charakterystycznych dla danej epoki wyobrażeniach na temat rzeczywistości i tkwiących w niej możliwościach. Na przykład najstarsze przekazy o podróżach kosmicznych (ciekawe, że takie podróże były bodaj najdawniejszym marzeniem ludzkości!), można znaleźć w literaturze babilońskiej, asyryjskiej, perskiej i egipskiej, (np. anonimowe utwory egip-

skie na ten temat pochodzą sprzed 4 tysięcy lat!). W staroindyjskiej epopei Mahabharata, tworzonej prawdopodobnie przez wielu poetów w okresie od IV w. p.n.e. do IV w.n.e., zdumienie budzi szczegółowy opis lotu na Księżyc i to za pomocą wężów w pewnym zakresie przypominających dzisiejsze statki kosmiczne!

Nie mogę powstrzymać się od dygresji: otóż jest to ciekawe dlatego zwłaszcza, że odbiega od normalnych wyobrażeń z tych czasów, kiedy to środkiem transportu w przestworza mogły być skrzydła, albo jakieś niezwykle ognie maszyny. Tęgod rodzaju opis nie potwierdza również tezy, iż najbardziej nierealna fantazyja musi być jednak zbudowana z elementów rzeczywistości realnej danej epoki.

niż bań), a nawet już w Utopii Tomasa Morusa (1516 r.). Za przodka współczesnej fantastyki naukowej uznaje się także Podróżę Guliwera Jonatana Swifta. Swiftowski konglomerat fantastycznego opisu podróży z ostrą krytyką społeczną bardzo często możemy spotkać we współczesnych utworach science fiction — pisze Vera Graaf, niemiecka znawczyni tej problematyki Homo Futurus (PIW, 1975 r.). Inni krytycy poszukują elementów FN w twórczości Rabelais'go Voltaire'a, Fontenelle'a, zaś bezpośredniego prekursora dzisiejszej FN widzą w Edgarze Allanie Poe (był pierwszym autorem, który (...) wsparł swoje dzieła na solidnej podstawie naukowego wyjaśnienia, unikając wszelkiej nadprzyrodzoności — stwierdza Colin Wilson). Twórcą science fiction

zasługa to Krzysztofa Borunia i Ryszarda Handkego, iż wydobyli go z zapomnienia. (Ryszard Handke, Polska proza fantastyczno-naukowa, Ossolineum, 1969 r. Jest to jedyna bodaj polska praca teoretyczna na temat FN).

Wśród innych twórców literatury fantastyczno-naukowej można wspomnieć na przykład filozofa i działacza społecznego, Karola Libelta (napisał m. in. ciekawą nowelę Gra u szachy), albo podróżnika Sygurda Wiśniewskiego (opowiadanie Niewidzialny, notabene wyprzedzające pomysły H. G. Wellsa z jego Niewidzialnego człowieka), czy Władysława Umińskiego (w 1895 r. po raz pierwszy w Polsce podjął problem łączności z pozaziemską cywilizacją).

Najciekawsze jednak, że polska fantastyka naukowa ma prekursora

stronną analizę piśarstwa Lemowego, które — niezależnie od ostatecznego werdyktu historii — stanowi na pewno ewenement w światowej literaturze współczesnej. Lem — mówi jego francuska tłumaczka, Dominique Sila — (...) przynosi wartości oryginalne, jest pisarzem bardzo polskim, a zarazem europejskim, uniwersalnym. Lem wprowadził do science fiction satyrę i bopactwo fantastycznych pomysłów, które charakteryzuje naukową ścisłość" (...).

Wydaje się również, że nadszedł czas pełniejszej prezentacji zagranicznej fantastyki naukowej. Otrzymałymi wprawdzie wiele ambitnych pozycji (nie mogę pominąć w tym wypadku zasług znakomitego tłumacza, redaktora i znawcy FN — Lecha Jęczyńskiego, działającego dawniej w Iskrach, obecnie w Czytelniku), ale wciąż brakuje wielu słynnych, gdzie indziej utworów fantastyczno-naukowych. Ich prezentacja idzie jakoś ciągle zbyt niemrawo; z nie wyjaśnionych przyczyn Wydawnictwo Literackie przerwało świetnie się zapowiadającą serię fantastyki naukowej, Iskry również przyhamowały przekłady. Brak papieru, jak zwykle, nie tłumaczy wszystkiego.

W czasopiśmie stałą prezentacją krótszych zagranicznych utworów FN prowadzi Problemy (dział tzw. złotych kartek redaguje tam K. Fiałkowski), zaś utworów polskich — Młody Technik (wielkie zasługi dla debiutantów FN ma niestrudzony Zbigniew Przyrowski, naczelny Młodego Technika). Pozycje z zakresu FN pojawiają się też ostatnio w Przeglądzie Technicznym i — nader rzadko — w kilku może jeszcze piśmie. Charakterystyczne, że stale działają FN mają wyłącznie piśma przyrodnicze i techniczne; nasze periodyki literackie dotąd nie zhańbiły się raczej drukiem fantastyki.

A czytelnicy? Ich szereg niestannie rośnie, pozycje FN są rocznie wydawane. Tworzą się kluby miłośników literatury fantastyczno-naukowej. Nie wiem, jakie i czy są szczegółowsze dane o czytelnictwie FN w Polsce. (...)

Wśród czytelników FN w USA przezwajają ludzi młodzi i w średnim wieku (do 40-50 lat), o względnie wysokim poziomie wykształcenia, w większości są to mężczyźni. Amerykański krytyk, Kingsley Amis, powiada, że czytelnicy FN w USA stanowią wielką mniejszość najbardziej twórczej i wpływowej części narodu — (są to młodzi technicy i naukowcy. Wydaje się, że fakt ten powinien dawać do myślenia).

Zwraca również uwagę zainteresowanych ogromną popularnością FN — również wśród młodzieży — w ZSRR. Radziecka fantastyka naukowa cechuje się pewną specyfiką treściową i rzeczywistości wielkimi nierzwałorami czysto literackimi i zarazem poznawczymi. Fantastykę traktuje się w ZSRR podobnie jak literaturę popularnonaukową, to znaczy odmiennie niż u nas — że pozwolę sobie znowu na narzekanie — jako istotny składnik kształtowania świadomości i wyobraźni oraz upowszechniania wiedzy w skali masowej. ZSRR jest też jednym z niewielu krajów, gdzie utworom FN nie odmawia się, przynajmniej od lat trzydziestych, prawa do rangi literackiej i gdzie rzeczywisty mecenat nad tym rodzajem twórczości sprawują liczne czasopisma oraz wydawnictwa książkowe.

Ciekawostką jest fakt, iż fantastyka naukowa jest ulubioną lekturą radzieckich kosmonautów (Herman Titow napisał nawet przedmowę do tłumaczeń Lema).

Zastanawiałem się, dlaczego zainteresowanie fantastyką naukową ze strony — nazwijmy ich tak — profesjonalistów nie dorównuje społecznej roli tej literatury i masowości jej zasięgu, a także wartości utworów czolowych jej przedstawicieli. Ciekawe zresztą, iż nadal wielu intelektualistów, zwłaszcza proweniencji humanistycznej, wykazuje wobec FN stosunek wyraźnie pogardliwy, więc — a priori neguje wartości utworów FN, często nie przeczytawszy ani jednego (!) i z owego nieczytania czyni się zasadę, rodzaj pseudointelektualnego snobizmu. Niewiele jest chyba gatunków literackich, które by — tak jak właśnie fantastyka naukowa — wywoływały równie skrajne postawy i mogły w podobnym stopniu podzielić opinie; z jednej strony fanatycy nierzwałorze wielbiciele (choć czasem swe uwielbienie skrajnie skrywający), z drugiej — ludzie z zasady w ogóle nie biorący do ręki utworów FN (chyba że taki utwór zostanie wydany, jako zupełnie inny gatunek literacki — nawiasem mówiąc dochodzi do tego, że niektórzy znani twórcy FN unikają wydawania swych książek pod etykietką science fiction).

Tak czy inaczej fantastyka naukowa wciąż nie ma szczęścia do krytyków, ani do czasopiśm literackich, zwłaszcza w Europie.

„NOWE DROGI”

Dokończenie
w następnym numerze

ODGŁOSY 11

NIEZUPEŁNIE FANTASTYCZNY ŚWIAT POMYŚLANY (1) MACIEJ ŁOWIECKI

Wyjaśnienie można by znaleźć łatwo w założeniu, że twórcy Mahabharaty wiedzieli skądś o istnieniu latających maszyn — ale jest to wyjaśnienie nie do przyjęcia w świetle współczesnej wiedzy o przeszłości. Chodzi mi tylko o to, że wobec takich przykładów mogą się przecież rodzić wizje danikenowskie i eksperci nie powinni się na Dänikena złościć, a raczej ustalić najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie. Niedługo właśnie ukazał się u nas — nakładem PIW — książka polskich autorów, próbująca podać naukowe wyjaśnienia podobnych, dziwnych historii, wywodzących się zresztą nie tylko z Mahabharaty.

Wracam do FN i jej prekursorów — jeszcze kilka przykładów. W I w. p.n.e. Antynusz Diogenes w Nieprawdopodobnych przygodach poza Thule (znane tylko z późniejszych relacji) opisał podróż na Księżyc Greka Deinasa. Lukian z Samosaty (II w. n. e.) w swej Historii prawdziwej opisywał przygody żeglarzy, którzy w czasie burzy trafili na Księżyc. Johan Kepler w Tajemnicy kosmicznej (I wyd. 1634 r., później, jako Sen albo astronomia księżycowa) przedstawił Selenitów jako istoty inteligentne, podobne do węży. Biskup Francis Godwin w 1638 r. w książce Czwolwiek na Księżycu, albo dysputa o podróży tam Dominga Gonzalesa wśród licznych fantastycznych przygód Gonzalesa przedstawił powiem interesujący szczegół: nadzwyczajną lekkość poruszania się na Księżycu (było to na 50 lat przed odkryciem grawitacji!). W 1657 r. Cyrano de Bergerac wprowadził, dziwaczny zresztą, ale nowatorski napęd magnetyczny w podróży kosmicznej Tamten świat, albo państwa i cesarstwa Księżycyca. Autorem, który pierwszy przeniósł akcję powieści w przyszłość, był — wedle rozważania ekspertów od FN — Francuz Sebastian Mercier w 1772 r. (L'an 2240 — Rok 2240).

Niektórzy uważają, iż elementy science fiction można znaleźć w Nowej Atlantydzie (1627 r.) Franciszka Bacona (utopia ta bardziej w każdym razie odpowiada kryteriom FN

w dzisiejszym rozumieniu tego terminu był niewątpliwie Juliusz Verne — od niego też zwykle datuje się początek współczesnej fantastyki naukowej. Kamieniem milowym w tej dziedzinie była twórczość Herberta G. Wellsa — i od tego pisarza-filozofa rozpoczyna się już lawina. W tej lawinie spotykamy też znakomitych pisarzy-utopistów negatywnych, jak Aldous Huxley z jego Nowym wsparciem światem i inni. Nie chciałbym zanudzić czytelników wycieczkami wybitnych dwudziestowiecznych twórców fantastyki naukowej. Dodam więc tylko, iż — jak to już wspominałem — charakterystyczny jest dla dzisiejszej FN wielki udział autorów-uczonych. Spotykamy tu więc Konstantego Ciolkowskiego (właśnie Iskry wydały jego powieść FN), Norberta Wienera (twórca cybernetyki, pisywał pod pseudonimem W. Norbert), Leo Szilarda (chemik, znany z prac nad reakcją termonuklearną), Arthura C. Clarka (astronom), Freda Hoyle'a (kosmolog), Izaaka Asimova (biochemik), Chada Olivera (antropolog), Burhusa F. Skinnera (najwybitniejszy przedstawiciel behawioryzmu w psychologii) i innych.

Ciekawe i mało znane są początki literatury fantastyczno-naukowej w Polsce. Otóż właśnie miały 200 lat od ukazania się pierwszej polskiej książki tego gatunku! Jej autorem był nie byle kto — jeden z najwybitniejszych pisarzy naszego Oświecenia, biskup Ignacy Krasiński. Powieść — wydana w 1779 r. — nosiła tytuł Historia. Jest pisana w formie pamiętnika człowieka, który wynalazł eliksir długowieczności i dzięki temu obserwuje życie kilku pokoleń. Książka, tłumaczona wówczas na niemiecki, rosyjski i francuski, uległa zapomnieniu — może warto by ją przypomnieć? Pierwszą naszą utopią księżycową była powieść Michała Krajewskiego (1741—1817) pt. Wojciech Zdarzyński. W 1858 roku, w Petersburgu wyszła Podróż po Księżycu odbyta przez Serafina Bolitńskiego, napisana przez Polaka, Teodora Trpplina. Przyznam, że pierwszy raz słyszę o tym utworze —

w... Mickiewicz, w jego zaginionej, niestety (wiemy o niej z listów Odyńca, znamy nawet niektóre wątki) Historii przyszłości, Niewiele więc brakowało, abyśmy zawdzięczali Mickiewiczowi wartościową artystycznie przedmowę-owską fantastykę naukową, jaką np. w Rosji stworzyli Buhajrim i Odojeuski — pisze Handke.

Klasykiem już XX-wiecznym jest u nas nie doceniony Jerzy Żulawski — znamienne, iż część jego wizji (opisy np. krajobrazów księżycowych) potwierdziły wyprawy astronautów amerykańskich.

Dzisiaj mamy autorów FN doskonale konkurujących z wybitnymi zagranicznymi pisarzami tego gatunku i w dodatku bardzo od siebie wzajem różnymi, uprawiających twórczość oryginalną, niekiedy bardzo swoistą. Warto to podkreślić, ponieważ wobec gigantycznej produkcji utworów FN na świecie, nie jest łatwo wyróżnić się własnym stylem, własnymi koncepcjami i pomysłami. Nie czuję się powołany do oceny i wartościowania twórczości polskich pisarzy FN, nie mogę też wymienić wszystkich, którzy by na to zasługiwali. Ich szereg na pewno otwiera przecież klasyk polskiej i światowej literatury fantastyczno-naukowej, Stanisław Lem.

Twórczość tego niezwykle inteligentnego i obdarzonego nadzwyczajną wyobraźnią i pomysłowością, a także — co ma w tej mierze ogromne znaczenie — głęboką wiedzą pisarza jest dostatecznie znana. W każdym razie Lem jest jednym z najpowszechniej na świecie przekładanych polskich pisarzy, z granicą poświęcono mu liczne publikacje, niektórzy krytycy (np. Günter Herburger z Frankfurter Rundschau, RFN), utrzymują, że od dawna zasługuje na Nagrodę Nobla, po tylu mało politycznych i sentymentalnych rozstrzygnięciach dotyczących istoty wielkiej literatury. Jeśli tak jest, tym lepiej — tutaj wszakże chciałbym tylko zwrócić uwagę na entuzjastyczny ton krytyki zagranicznej i dodać, że w kraju jak dotąd nikt chyba nie pokusił się o pełną, obiektywną, wnikliwą, krytyczną i wszech-



Rys. Andrzej Tylczyński

Lódź jest środowiskiem znanym już od dawna ze swej aktywności, różnorodności podejmowanych działań, rangi we współczesnej sztuce polskiej. Jednym z mierników tej pozycji, aczkolwiek nie jedynym, są medale, nagrody, wyróżnienia przyznawane artystom naszego miasta w różnych konkursach w kraju i na świecie.

Spśród wielu artystów łódzkich, którzy od dawna należą do czołówki artystycznej Polski, chciałbym wyróżnić sylwetki twórcze Stanisława Fijałkowskiego i Antoniego Starczewskiego. Tegoroczne sukcesy obu artystów stanowią bezpośredni przyczynek dokonania takiego właśnie wyboru, tym bardziej że obaj wyróżnieni zostali w tej samej dziedzinie działań plastycznych — w grafice artystycznej. Stanisław Fijałkowski jest laureatem I Biennale Grafiki Europejskiej w Heidelbergu, a Antoni Starczewski Biennale Grafiki w Bradford oraz laureatem Grand Prix Biennale Grafiki w Tokio. Należy przy tym pamiętać, że grafika artystyczna, szczególnie dzięki zastosowaniu nowych technik, jak np. serigrafii, stała się niezmiernie popularna, a jej ilościowa produkcja jest chyba w obrębie twórczości plastycznej największa. Szczególnie znamienity jest fakt, że obaj artyści uprawiają tę formę wypowiedzi na równi z innymi.

Stanisław Fijałkowski, co podkreśla, jest przede wszystkim malarzem, z wykształcenia natomiast grafikiem. Jednak dopiero w dziesięć lat po uzyskaniu w 1952 roku dyplomu podjął ponownie pracę w dziedzinie grafiki. Przez lata te uprawiał tylko malarstwo, jako najbardziej rozbudowaną dziedzinę doświadczeń plastycznych — wypowiedzi o wielopozycyjnej strukturze. Świadomie unikał grafiki. Spowodowane to było z jednej strony obawa

niaka zatem, że grafika w twórczości Stanisława Fijałkowskiego jest immanentnym składnikiem jego pracy.

Najczęściej, a właściwie jedyną używaną przez Fijałkowskiego techniką graficzną jest linoryt. Wyboru tego dokonał świadomie w drodze eliminacji, w trakcie licznych prób z różnymi technikami na przełomie 1961/1962 roku, będących wynikiem określonych potrzeb doświadczalnych plastycznych, potrzeb rozumianych jako konieczność badania relacji zachowania się formy.

Zresztą tę potrzebę — innych doświadczeń — rozumie artysta bardzo szeroko, jako ciągłą konfrontację rzeczywistości, teorii i praktyki. Uprawiając w zasadzie sztukę abstrakcyjną, odległą od bezpośredniego powiązania z naturą, Fijałkowski — o czym mało kto wie — w sposób bardzo bezpośredni ustosunkowuje się do świata otaczającego: realizuje amatorską kamerą filmy stanowiące jego notatnik, specyficzny szkicownik. Biegunowo przeciwne, teoretyczne rozważania konfrontowane są z koncepcjami filozoficznymi, Biblią, Talmudem, koncepcjami, dla przykładu, Kandinskiego, Stokhausena, Maxa Bense, aby wreszcie znaleźć swą konkretyzację w twórczości plastycznej. Jak wspomniano wyżej twórczość ta opiera się o bardzo precyzyjną formę, dla której właśnie linoryt jest doskonałym sprawdzianem. Rysunek, obecnie przenoszony fotograficznie na linoleum, w technice tej nie może ulegać już zmianom, nabiera jedynie precyzyjności, lapidarności gwarantującej czystość formy. Ponadto linoryt nie pozostawia prawie praktycznie możliwości korygowania, wzbogacania odbitek w trakcie powielania. Ograniczenia te wpływają na kondensację wypowiedzi, uprzedniająca tę bardzo bogatą twórczość i może

odpowiednią powziętym zamiarom. Zastosowanie „cytatów” graficznych nie narusza statusu dzieła — grafika z założenia jest powielana, z drugiej strony technicznie pozwala na osiągnięcie największej wierności „cytatu” z oryginałem, jak również uzyskania jego jednorodności z nowym dziełem.

Nieco odmienną rolę pełni grafika w twórczości Antoniego Starczewskiego, który jest rzeźbiarzem uprawiającym także tkaninę. W obu jednak przypadkach grafika jest jedynie techniką służącą manifestacji koncepcji twórczej, a nie czynnikiem organizującym działalność artystyczną.

Antoniu Starczewskiemu grafika daje przede wszystkim możliwość szybszej wypowiedzi, szybszej niż uprawiana przez niego rzeźba ceramiczna, wymagająca wielu dodatkowych technicznych operacji, nierazko angażujących wiele dodatkowych osób z zewnątrz, czy tkalina wymagająca żmudnego wiązania wątków. Choć z wykształcenia, podobnie jak Fijałkowski, jest grafikiem — dyplom w 1952 roku — natomiast w dziedzinie tkactwa i ceramiki jest samoukiem, mimo to rzeźbę ceramiczną uważa za swoją główną dziedzinę twórczości.

Dla wyjaśnienia zależności pomiędzy uprawianymi technikami posłużyć się cytatem z wywiadu: *Znaczenie wiódące (dla mnie) miała niewątpliwie rzeźba, która nasunęła mi pomysły tkackie. Te wpłynęły z kolei na rzeźbę i grafikę. Obecnie moim działaniem wyjściowym, przynajmniej teoretycznie, jest grafika jako najszybszy sposób zapisu. Przypomnę, że ceramiką zajmuję się od 1956 roku. Doświadczenia architektoniczne — liczne monumentalne realizacje, takie jak: płaskorzeźba w gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi z roku 1959, płaskorzeźba oraz ściana światła w hal-*

nie względu decydują o jej wartości, co znalazło potwierdzenie w wyróżnieniu artysty w tegorocznych konkursach w Bradford i Tokio, a także wcześniej na Biennale Grafiki we Florencji i Tokio oraz w Krakowie w latach 1972 — 1976.

W powyższym szkicu starałem się zwrócić uwagę na formalną stronę integralności grafiki obu artystów z całością ich pracy twórczej. Niejednokrotnie jednak o wyborze takiej czy innej dyscypliny i o pozycji w jej ramach decydują także inne, niejednokrotnie tak zwane „względnie obiektywne”. Zapytany co chciałby przekazać czytelnikom „Odgłosów” w związku ze swoimi nagrodami Antoni Starczewski stwierdził: *Chciałbym wyrazić podziękowania kilku kolegom i urzędnikom (mam nadzieję, czytelnikom „Odgłosów”), którzy utrudniają mi realizację w zakresie ceramiki monumentalnej, spowodowali, że zaczęłam interesować się innymi odcinkami działania plastycznego o mniejszym zasięgu kontroli artystycznej. Wyznaczenie to skłoniło mnie do dalszych pytań. Odpowiedzi na niektóre z nich, ze względu na celność sformułowań problemów dotyczących się rangi, klasyfikacji i oceny działalności artystycznej, pragnę zacytować in extenso.*

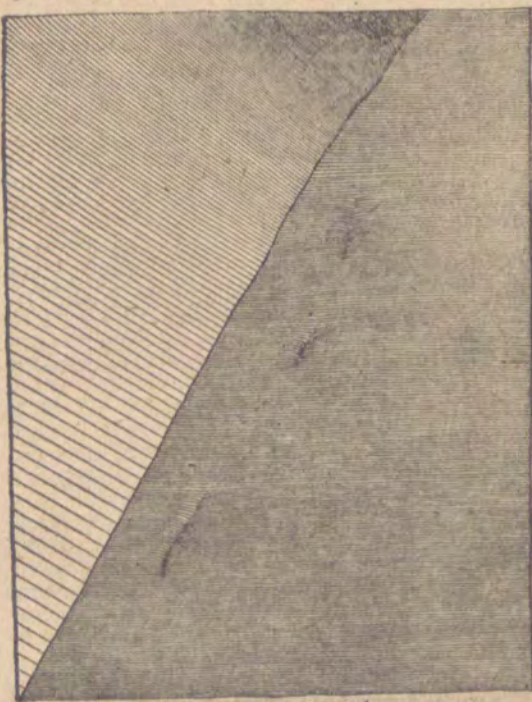
— Ilu Polaków — prócz pana — wystawiło na Biennale Grafiki w Tokio?
— Nie wiem, nie otrzymałem jeszcze katalogu.

— W jaki sposób pańskie prace znalazły się w Tokio? Czy prace na to biennale może wysłać każdy artysta?

— Biennale Tokijskie, które organizowane jest nieco inaczej niż podobne imprezy w Europie, ma w częściach świata korespondentów, którzy typując kandydatów do uczestnictwa,

GRAFICZNE ALFABETY

JANUSZ GŁOWACKI



Stanisław Fijałkowski „Hommage to Joan Miró” — linoryt.

przed zdeternowaniem swojej wypowiedzi ograniczeniami technicznymi, z drugiej strony opozycją wobec lansowanej i panującej w owych czasach w tzw. szkole krakowskiej i warszawskiej tendencji rozumienia grafiki, jako wyniku zderzenia narzędzia i materiału. Takie pojmowanie sztuki było nie do przyjęcia dla artysty poszukującego w sztuce pierwiastka duchowego, a tak wówczas już rysowała się koncepcja twórcza Stanisława Fijałkowskiego. Obecnie w dalszym ciągu generalnym założeniem jego sztuki jest oddziaływanie na widza w płaszczyźnie duchowej. W dziedzinie plastyki więc operowanie przede wszystkim formą znaczącą, o charakterze archetypicznym, otwartym, aby jednocześnie sugerować kierunek aktywności widza poprzez łączność z formami tkwiącymi już w jego podświadomości i uświadomionymi oraz aby stwarzała ona możliwość otwarcia się w innym kierunku, zbudzenia się — ukonstytuowania się form jeszcze nie uświadomionych. Dlatego Fijałkowski operuje formą rześlęchanie precyzyjną. Tworzone przez niego prace poprzedzane są studiami, szkicami i wreszcie rysunkiem formy, aby ostatecznie mogła ona zafunkcjonować skutecznie w obrazie czy grafice. Niejednokrotnie grafika pełni rolę pośrednią pomiędzy studiami a obrazem, jest sprawdzianem formy, bądź odwrotnie — jest etapem następnym po obrazie i wówczas jest próbą zawężenia, ujednoznaczenia problematyki wypowiedzi malarzkiej. Poza tym powstają oczywiście odrębne prace graficzne. Wy-

właśnie dlatego Stanisław Fijałkowski zaczął być doceniany najpierw jako grafik, a później odkrywany jako malarz. Świadczą o tym liczne nagrody na bardzo wielu konkursach krajowych oraz międzynarodowych. Dla przypomnienia wymienię jedynie nagrody na Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie w latach 1968 i 1970, Bianco e Nero w Lugano w 1972 roku, na Międzynarodowym Biennale Grafiki w Lublianie w 1977 roku, na Biennale Grafiki we Frechen i Grafika Creativa w Finlandii w roku 1978, i wreszcie Biennale Grafiki Europejskiej w Heidelbergu w roku bieżącym.

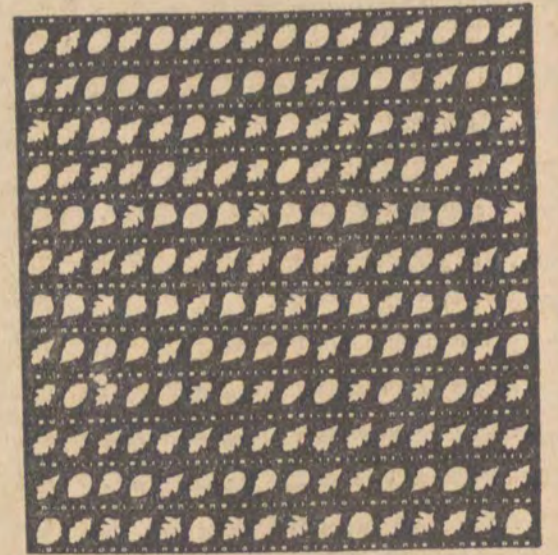
W obranej drodze wnikania w duchową rzeczywistość człowieka kolejnym etapem dla Fijałkowskiego było przezwycięzenie abstrakcji. Jedyną możliwością dla siebie na tej drodze widział w zwróceniu ku symbolowi. Jak twierdzi: *Sztuka jest również swoistym uprawianiem metafizyki, szczególną formą filozofowania. W dzisiejszym świecie, który zagubił wrażliwość religijną, owo wyzucenie na świat duchowy czy „poczucie metafizyczne” — jak mawiał Witkacy, sztuka dostarcza niektórych przeżyć, jakich dawniej dostarczała religia. Jest zdania, że wobec trwającego nacisku kultury masowej należy w sobie rozwijać zdolność skupienia się, konieczne jest uwewnętrznienie swego postaw. Swą działalność określa więc świeckim odpowiednikiem teologii. Między innymi z tego właśnie względu w ostatnich swych pracach sięgnął za pomocą grafiki do sztuki dawnej, przeprowadzając pewne działania na drzeworytach wydanych w 1557 roku w Krakowie do Postylli M. Reya, czy na grafikach Dürera.*

Z jednej strony atrakcyjna wydała się możliwość posłużenia się starym, dobrze znanym językiem dla wyrażenia nowych treści, z drugiej przyswieceła temu posunięciu pewna intencja o charakterze dydaktycznym. Mianowicie współczesna sztuka polska jest w pewnej swej części na etapie doganiania tendencji panujących za granicą, lekceważąc rodzimą tradycję, która — zdaniem Fijałkowskiego — może stać się punktem wyjścia samodzielnej drogi twórczej, co udukiemowane zostało właśnie graficznym cyklem Postylli. Dodatkowe potwierdzenie słuszności obranej drogi znalazło się za granicą, gdyż w skład nagrodzonego w Heidelbergu zespołu prac wchodziła praca oparta na motywach grafiki Dürera. Tak więc grafika w najnowszej twórczości Fijałkowskiego okazała się techniką najbardziej

lu i foyer teatru im. Jaracza w Łodzi z lat 1967—70 i wreszcie płaskorzeźba w hallu kąpieliska „Fala” w łódzkim parku na Zdrowiu z roku 1976 — dostarczyły artyście pomysłu budowy form przez dokładanie, ułatwiającego ponadto realizację płaskorzeźb ściennych dzięki zastosowaniu elementów o ustalonym module. Tak powstał w 1963 roku pierwszy zbiór elementów rzeźbiarskich — „alfabet”, stanowiący punkt wyjścia do dalszej pracy, pracy niezmiernie owocnej, stawiającej go na czele polskich rzeźbiarzy ceramików, nagrodzonego na licznych konkursach międzynarodowych. Przypomnę, że otrzymał za projekty monumentalnych realizacji m. in. nagrodę miasta Raveny oraz trzy złote medale w kolejnych Concorso Internazionale della Ceramica w Faenzy w latach 1964, 1966, 1970 i 1971, będącym najpoważniejszym konkursem tego typu na świecie. Tak jak przy murowaniu forma powstaje przez dokładanie identycznych niemal elementów, taki sam system pracy obowiązuje przy tkactwie opartym o tradycyjną technikę. Doświadczenia zdobyte w dziedzinie ceramiki zostały w 1965 roku przeniesione przez Starczewskiego na obszar tkaniny, a w 1969 roku powstał pierwszy „alfabet” graficzny składający się z czterech prostych znaków. Powstałe w ten sposób kolejne zespoły elementów rzeczywiście zasługują na nazwę „alfabetów”, tworzą bowiem język, którym posługują się Starczewski buduje określone konstrukcje, będące finalną formą wypowiedzi.

Samodzielne tworzenie „alfabetów” zobowiązało niejako artystę do bliższego zainteresowania się zagadnieniami zapisu i sprzężenia jakie zachodzi pomiędzy zapisem, a zawartą w nim informacją. Stąd zainteresowanie rozmaitymi funkcjonującymi formami notacji — rytmem, piśmem odręcznym, znakami drukarskimi, piśmem Braille’a czy wreszcie dźwiękami.

Rozległość tych zainteresowań i związku z tym konieczność szybkiej realizacji, zapisu stanowiącego formę sprawdzenia stawianych tez czy też niejednokrotnie jedyną możliwość rozwiązania konkretnego problemu, skłoniła Starczewskiego do częstszego posługiwania się rytmem i grafiką, stając się w ten sposób laboratorium teoretycznym artysty. W tym sensie grafika Antoniego Starczewskiego jest integralnie związana z całokształtem jego twórczości, wynika z niej i jednocześnie stanowi „bazę teoretyczną”. Jest ogniwem niesłychanie ważnym w rozwoju osobowości artysty. Te właś-



Antoni Starczewski — linoryt
Foto: Z. Sowiński

dokonują tym samym jakby pierwszej selekcji Korespondentem, który zgłosił moją kandydaturę było muzeum londyńskie — Tate Gallery.

— Czemu właśnie prace z Polski zyskały to wyróżnienie w innej społeczności. Czym wytłumaczyć pańskie powodzenie na tej wystawie?

— Od dwudziestu lat zajmuję się przeprowadzaniem prób z zakresu indywidualnie pojętego rytmu plastycznego. Jednym z punktów wyjścia w tych poszukiwaniach, zupełnie przypadkowo, stały się moje zainteresowania różnymi dziedzinami sztuki, wpliwające z kolei na odrębność moich prac.

— Co mógłby pan poradzić młodym adeptom sztuki, którzy chcieliby pójść w pańskie ślady?

— Prestiżowo — życzę szerokiej drogi. W poszukiwaniach artystycznych — radziłbym, żeby nie chodził niczymi śladami.

— Jakiego rodzaju satysfakcje daje panu tokijskie Grand Prix?

— Nie jest obojętne czy jest się zrozumiałym, czy nie. U miejscowych krytyków, szczęśliwie nie u wszystkich, nie zawsze znajduję zrozumienie, tak jak i wielu twórców wystawiających w naszych ośrodkach. Bardzo brzydka moda przyjęta przez niektórych recenzentów prasowych, na ośmieszanie nawet, twórców prezentujących swoje osiągnięcia, stała się w naszym mieście źródłem dezinformacji plastycznej, ze szkoda dla osób szukających kontaktu do sztuki.

Ewa Ostrowska przez wiele lat związana była z Łodzią. Tutaj studiowała, pracowała jako dziennikarka, tu opublikowała swoje pierwsze książki. Od kilku lat prowadzi na Mazurach gospodarstwo rolne. Powiadam o tym, bo fakt ten posiada istotne znaczenie jako swego rodzaju inspiracja najnowszej jej pracy — powieści „Śniła się sowa”.

Książka ta wzbudzać może mieszane uczucia. Czytelnicy spod znaku ojca Pirożyńskiego mieć mogą za złe nadmiar wulgaryzmów, ale stanowiąc będą oni z pewnością mniejszość. Innych bulwersować może przemieszenie gatunków, polegające na scaleniu w konsekwentną jedność cech prozy plebejskiej, przygodowej, młodzieżowej oraz tzw. nurtu wiejskiego. Jeszcze innych zainteresuje trochę nietypowe, odmienne od utartych schematów, spojrzenie na współczesną polską wieś. Nie żebym Ostrowską poszerzała czy pogłębiała pole obserwacji. Trzyma się tradycyjnej problematyki oby-

czajowej, tyle tylko, że nieco inaczej ją przedstawia.

Wieś, reklamowana przez mieszkańców jako „poetyczna miejscowość nad poetycznym jeziorem”, wcale nie jest sielskim i anielskim zakątkiem. Wręcz odwrotnie — zdecydowana większość mieszkańców wieśdzie życie dosyć prymitywne, żyje podobnie jak pradziadkowie (nie darmo przecież bohaterowie noszą nazwiska-etykiety, wśród których pojawia się i Boryna). Jedynym niemal zjawiskiem, odróżniającym bohaterów powieści „Śniła się sowa” od bohaterów „Chłopów”, jest... telewizja. Funkcjonują więc w książce Ostrowskiej dwa światy: realny (groteskowy i groźny zarazem) oraz przedmiot marzeń i westchnień wiejskiej młodzieży — świat telewizyjny. Wymowna to symbolika, oparta na kontraście i konkretności.

Telewizyjny świat jest uładzony jakis, bajkowy. A na wsi, jak to na wsi, samo życie: kłótlive baby, zazdrosne i jezdowate, skłonni do bitki i wy-

pitki chłopci, znajdują się nawet wiejska ładacznicza, bez zasad wprawdzie, ale z dość dużym nacjonalizmem — szczęściem („Kuzna to ma szczęście. Bo te chłopcy takie głupie”) oraz

najlepszych, wzorów, rozsadzających powoli porosłą patyną obyczajowości.

„Śniła się sowa” jest książką pozornie rozgadana, właściwa akcja obrasta bardzo często w

ekspozycję utworu, bo jest ona z jednej strony charakterystyczna dla stylizacji, z drugiej zaś uświadamia powolne, a przecież nieublagane, narastanie tragicznego w skutkach konfliktu:

„Ciuckowa po domach gania i mówi, że ma przecucia. (...) A Ciuckowej, jak się gdzieś co ma wydarzyć, zawsze ta sowa, co gdać jak kura, znak we śnie daje. Zawsze. Jak Luluś się miał spać, to Ciuckowej też sowa we śnie gdała. I jak Wdowy świniaki się upiekły, to też ta sowa czarna do Ciuckowej. Jak z leśnictwa miał przyjechać i te grunty leśne, co my je przez tyle lat jako swoje obsławiali albo wypasali za pół litra stawanego dla leśniczego, to też sowa we śnie Ciuckowej kółgdała. I teraz znów mówi Ciuckowa, że okropnie gdać, aże nawet kukuryka ta sowa”.

Senny zabobon zapowiada tragedię. Byłoby zresztą uproszczeniem twierdzić, iż wynika ona jedynie z kontrastu — przeciwstawienia tradycyjnej surowości zasad współczesnemu

synkretyzmowi obyczajowemu. Narratorka „Śniła się sowa” daje do zrozumienia, że jest to jedna z przyczyn, może nawet nie najbardziej zasadnicza, bo to, co dla charakterystyki bohaterów tej powieści najważniejsze tkwi po prostu w samych ludziach, tkwi w ich namiętnościach. A od namiętności nie ma ucieczki, nawet wówczas, gdy zapanuje powszechna łagodność obyczajów.

„Śniła się sowa” to opis obyczajów i opis namiętności. Jest to powieść dowodem sprawności warsztatowej. Rekonsem autorki w dziedzinie zagadnień wiejskich. I chyba zapowiedzią dalszych książek o podobnej problematyce, zrodzonych z mazurskich inspiracji.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Ewa Ostrowska, Śniła się sowa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1979, nakład 10 000 + 330 egz. ss. 274, cena zł 20.—

SOWA— SYMBOL NAMIĘTNOŚCI

zasczuta przez opinię kobieta, która w kulminacyjnym punkcie utworu usiłuje zabić własne dziecko. Obyczajowość wiejska ukazuje w powieści swe surowe oblicze. Lecz jakby dla przeciwwagi narratorka wychwytuje (oczyma przybyśza z wielkiego miasta) wkraczanie nowych, nie zawsze zresztą

dygresje, dywagacje, mnożą się szczegóły. Jej dramatyzm jest w związku z tym jakby mniej widoczny. Narasta stopniowo. Od początkowej zapowiedzi niesamowitego wydarzenia aż do brutalnej sceny bicia dziecka, mowa jest praktycznie o wszystkim, co ma związek z obyczajem. Spójrzmy zatem na

Idzie zima. A w zasadzie wemknęła się już — pod maski samochodów, do klatek schodowych, a także do wielu mieszkań. Zaczynamy mieć problemy dużo ważniejsze niż telewizyjny program. Trzeba kupić ziemniaki, uszczelniać okna, pomyśleć o akumulatorze, porozglądać się po sklepach. Właśnie zaopatrzono je w skrzynki balkonowe do kwiatów. Gdzieś tu myśleć o telewizji. Zwłaszcza przy święcie. Z drugiej strony, trzeba byłoby popaść w skrajne czarnowidztwo, aby rokrocznie spodziewać się zimy stulecia. Mieljmy zatem nadzieję, iż to co się dzieje za oknem, to chwilowy wybrzyk natury i popatrzymy od czasu do czasu w telewizor. Bo oto, ni stąd ni zowąd można zobaczyć w nim listwy festiwal światowej sztuki filmowej. Wprawdzie TVP zaprezentowała w większości obrazy znane polskiej widowni, jednakże były to te filmy, które warto obejrzeć powtórnie z rozmaitych względów. Adaptacja arcydzieła Flodora Dostojewskiego „Bracia Karamazow” przedstawiona przez Aleksandra Jackiewicza, jak zresztą większość filmów radzieckich, zasługują na wysoką ocenę ze względu na znakomity warsztat realizacyjny i aktorski. Nie można mieć pretensji także co do fabularnej wierności wobec oryginału. Rozumiejący znawcy Dostojewskiego mogą mieć do filmu Iwana Pyliewa jedno, słusne i poważne zastrzeżenie: interpretacja prozy autora „Zbrodni i kary” tylko w perspektywie podkreślonego realizmu jest tej prozy wyraźnym uproszczeniem. Zafraca się w ten sposób to wszystko co np. Bohdan Urbankowski ujmuje w hasłach „dramat humanizm”, „naturalizm mistyczny”, „dialektyka witalności i witaly”. Podobne uwagi trzeba formułować wobec skrajności wybitnej powieści Wasilija Szukszyna „Rodzina Lubawinów”, należy się zgodzić z ocenami krytyki, iż jest Szukszyn przede wszystkim pisarzem-realistą, który w „sposób dogłębny i wyczerpujący opisuje życie chłopstwa radzieckiego”. Ale jest jednocześnie ós-

tor kontynuatorem tych tradycji wielkiej prozy rosyjskiej, w których dominuje to, co można bytoby nazwać metafizyką ludzkiego losu, czego adaptacja filmowa nastawiona na rodzajowość wiejskiej bytowania w ogóle nie uwzględniła.

Jeśli już wspomnieliśmy o rodzaju, tym łatwiej będzie przejść do uwag o filmie Jacquesa Beckera „Złoty kask”. Ta, zrealizowana w 1952 roku, apasowska ballada, będąc jednym z najlepszych dokonania nurtu populistycznego w kinie francuskim, nawiązuje do

który dominował przecież w ówczesnym populistycznym nurcie.

Taki stylizacyjno-balladowy charakter miał również dwuczęściowy film Jeana Delannoya wedle scenariusza Jeana Anouilha „Karol Wielki i hrabia Roland”. Tu uczucie muszę powiedzieć, że nie obejrzałem tego filmu tak jak należało. Najpierw szukałem świeżki, potem dorozcy, aby uwołnić z windy nabyt ślepo ufaający w osiągnięcia współczesnej cywilizacji pasadów. Tak czy inaczej kreację roli Karola Wielkiego przez Georgesa Wilsona mo-

wski „Kabaret”). „Dojrzałe lata” według powieści Henryka Manna. Pierwszy odcinek nowego serialu, tym razem szwedzkiego „Maskenowie” według Wilhelma Moberga. Oglądałem te produkcje w niejakim zadziwieniu, bo nie nby to film o zacięciu społecznym, ale o parobczy, jak z Mroźka, albo innego sznyderki. Znamy przecież twórczość Moberga skądinąd i aż nie chce się wierzyć, że to, co widzimy na ekranie, jest adaptacją jego prozy; Co nie mamy ostatnio szczęścia do seriali, „Saga rodu Rius” tymczasem przestała nas nudzić. Niestety, będzie druga część „Tajemnic Andów” zaskakiwała niecodziennymi rolami polskich aktorów (Ewa Krzyżewska z pejemem w reku) i naszym wiceł. Przez kilka sobót, będzie uciekał znowu pulkownik Dowgrid („Czarne chmury” — Informacja dla tych, co już zapomnieli). Nieprądopodobne przygody miewają „Aniołki Charliego”, też nie wiedzieć jak długo jeszcze. A tu TVP zapowiada szumnie (czym szumnie, tym gorzej prognozy — vide „Korzenie”) powrót Gergesa Descriresa (kiedys Arsène Lupin) w serialu „Sam i Sally”.

Na koniec chcę wyrazić swoje satysfakcje kinomana, bo dzięki telewizji, mogłem obejrzeć jeszcze raz arcydzieło Michała Kalatozowa „Lecia turawie”. Interesujący film Otokara Vavry „Krankatt”, także klasyki Sergiusza Eisensteina. A „Cincinnati Kid”? No, właśnie. Czy możliwe jest istnienie telewizji bez kina? Pytanie retoryczne.

GRZEGORZ GAZDA

DUŻO KINA

stylizacji i fabuły dziesiętnastowiecznej powieści popularnej. Sam Becker w jakimś wywiadzie mówił o swoich fascynacjach Eugeniuszem Sue i jego „Tajemnicami Paryża”. Można by jeszcze pamiętać, oglądając film, o wyrażnych inspirowaniach impresjonizmem i Augustem Renoirem. Właśnie w obrazach tego malarza trzeba szukać prototypu złotowłosej Marii o bujnej i pełnej kobiecości urodzie. Do Renoira nawiązuje także obraz paryskiego Belleville i Joinville nad Marną, miejsca niedzielnego wycieczek paryżan, także tych z demimonde'u. Napisałem wyżej o popularnym filmie Beckera. Sądzę, jednak, iż więcej w „Złotym kasku” stylizacji i swoistego estetyzmu, niż środowiskowego realizmu,

zna uznać za prawdziwie wybitną. I nawet to, iż nie wszystko było jasne w przebiegu fabularnym filmu (przez te świeczki), wysiedziałem przed telewizorem dzięki właśnie Wilsonowi.

bięcia psychologicznego postaci — co mogłoby dać szansę na udrumienienie rozgrywających się wydarzeń — decyduje o calości. Nawet, jeżeli założyc, że film może być przeznaczony także dla młodych widzów (choć jest to wątpliwe: film nie postuluje się wystarczająco atrakcyjną fabulą) — to tym bardziej niezrozumiałe są drobne, ale dotkliwie dydaktyczne sceny określające społeczny status młodego bohatera. Świat — prezentowany w konwencji lirycznej, poetyckiej, nie musi być rozumiany, ale jedynie przeżywany. Nie oznacza to jednak, że na taki sam sposób jego odbioru skazany zostaje widz filmu. Akurat w przypadku „Skraba” mamy do czynienia z taką sytuacją. Wiemy o wiele więcej o rzeczywistości nie tylko od bohatera — co w końcu było by całkowicie naturalne ale ponad to, co film ze sobą niesie w swojej zawartości myślowej. Saurą potrafił nadać przeziomych dziecku, jego wyobraźni wymiar tragizmu — przy tej okazji udało mu się dokonać analizy ludzkiej świadomości w traktowaniu jako jednostki w której dziedzictwo — indywidualna prehistoria każdego z nas splata się z okresami późniejszymi. Trudno wymagać od każdego podejmującego temat dziecka w filmie, aby był Saurą. Ale punkt wyjścia Frejmnisa i autora „Nakarmić krulki” był podobny. I to w czasie, gdy kino stara się problematyzować tradycyjną opozycję w poglądach na dziecko: pomiędzy przeświadczeniem o wpływie kultury na dziecko z natury moralne i apolityczne, a przekonaniem o szczególnym rodzaju dziecięcej wrażliwości i spontaniczności.

Współczesna literatura i dramaty radzieckie, sięgając po tematykę dotyczącą pracy ludzkiej, dążą do przyznania prymatu temu wszystkiemu, co dzieje się w człowieku, w jego wnętrzu. Praca i związane z nią sytuacje przestają więc pełnić funkcje główne, a stają się problemem, miernikiem ludzkich postaw, ujawniającym wewnętrzne przeżycia człowieka.

Taki więc świadomy powrót do problemów związanych z pracą i tworzeniem jest próbą wzbogacenia wiedzy o człowieku, niesie w sobie założenia z gruntu humanistyczne. Wydaje mi się, że najpoważniejsze osiągnięcia na tej drodze ma do odnotowania film, który już w samym swoim tworzeniu bliżki jest realiom życia. Fakt, że na język filmowy składają się animowane fotografie, niezmiernie ułatwia wkroczenie w świat maszyn i tworzenie z niego scenarii dla ludzkich dramatów i konfliktów.

O wiele trudniej poruszać się w tej sferze teatrowi ze względu na umowność jego konwencji. Dramaturgia radziecka ma jednak i w tej mierze interesujące doświadczenia, dążąc do

Listopad, jak co roku, jest okresem szerokiego kontaktu ze sztuką radziecką. Również Teatr Telewizji włącza się do tego przeglądu. Tym razem zryzygowano ze sztuk związanych bezpośrednio z rocznicą Rewolucji Październikowej na rzecz tekstu całkowicie współczesnego, obrazującego problemy, które na dzień dzisiejszy nurtują społeczeństwo radzieckie.

Sztuka Rustama Ibrahimbekowa „Własną drogą” nawiązuje do tego nurtu literatury radzieckiej, który zmierza do przywrócenia należnego miejsca problematyce związanej z pracą ludzką. Praca zawodowa angażuje głównie siły tkwiące w człowieku, stanowi w jego

zachowania jak najściślejszych związków z życiem. Tego rodzaju próbą jest z pewnością sztuka Ibrahimbekowa, którą mieliśmy możliwość oglądać przygotowaną przez Zespół Telewizji Gdańskiej, w reżyserii Jerzego Afanasiewa.

Autor, w poszukiwaniu pozytywnego bohatera na miarę naszych czasów, tworzy postać geologa poszukującego ropy naftowej na Syberii, która jest jak wiadomo wciąż jeszcze nie odczytaną księgą wszelkich bogactw naturalnych. Zachowując przeciętny, ludzki wymiar swego bohatera każe mu autor uparcie walczyć o realizowanie postawionych sobie celów.

Trudności i opory, jakie go

TRUDNA WŁASNA DROGA

życiu niezmiernie ważny czynnik kształtujący charakter i postawę. Trudno więc przecenić możliwości tematyczne tkwiące w tej części ludzkiego życia.

Z doceniania twórczej i szlachetnej roli pracy w naszej codzienności zrodziły się w ostatnim czasie tak zwane produkcyjniaki, których białym było skupianie uwagi na procesach technologicznych, szukanie w ich zakłóceniach źródeł dramatycznego konfliktu. Zaspokajając odbiorcę nadmiarem szczegółów technicznych, związanych z tą czy inną branżą zawodową, twórcy produkcyjniaków zapominali, że przedmiotem penetracji literatury i sztuki jest człowiek w jego zagubieniu we współczesnym, skomplikowanym świecie, w poszukiwaniu właściwych drogi, obfitującym w błędy i upadki.

Współczesna literatura i dramaty radzieckie, sięgając po tematykę dotyczącą pracy ludzkiej, dążą do przyznania prymatu temu wszystkiemu, co dzieje się w człowieku, w jego wnętrzu. Praca i związane z nią sytuacje przestają więc pełnić funkcje główne, a stają się problemem, miernikiem ludzkich postaw, ujawniającym wewnętrzne przeżycia człowieka.

Taki więc świadomy powrót do problemów związanych z pracą i tworzeniem jest próbą wzbogacenia wiedzy o człowieku, niesie w sobie założenia z gruntu humanistyczne. Wydaje mi się, że najpoważniejsze osiągnięcia na tej drodze ma do odnotowania film, który już w samym swoim tworzeniu bliżki jest realiom życia. Fakt, że na język filmowy składają się animowane fotografie, niezmiernie ułatwia wkroczenie w świat maszyn i tworzenie z niego scenarii dla ludzkich dramatów i konfliktów.

O wiele trudniej poruszać się w tej sferze teatrowi ze względu na umowność jego konwencji. Dramaturgia radziecka ma jednak i w tej mierze interesujące doświadczenia, dążąc do

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Ukazywanie świata z perspektywy dziecka ma w filmie bogatą tradycję. „Postanienie”, „Duch roju”, „Nakarmić krulki” to tylko wybrane, najwybitniejsze przykłady z ostatnich lat. Niezależnie od oczywistych różnic pomiędzy wymienionymi filmami, a zwłaszcza filmem Loseya i utworem Hiszpanów, można mówić o pewnych zasadniczych cechach wspólnych — dotyczących także pozostałych filmów skupiających swe zainteresowanie na osobowości dziecka. Jedną z nich — podstawową — jest pogłębienie spojrzenia na pozorne zjawiska, codzienne wydarzenia, na których dramatycznie ujawniają się obecność nie byłoby po prostu miejsca w świecie dorosłych. Zdarzenia te nabierają w przeżyciu przez dziecko zupełnie wyjątkowego sensu, pozwalają na rozumienie świata poprzez to, co już zazwyczaj niezauważalne.

Jednocześnie trudno stwierdzić, że kształtują osobowości, której rozwój odbywa się na naszych oczach. Wręcz przeciwnie — powodują najczęściej destrukcję indywidualności pierwotnie harmonijnej, a obojętnej, często okrutna rzeczywistość wywołuje w psychice bohaterów tych filmów trwałe urazy — decydujące nie rzadko o kolejnych lat losu. Takie właśnie wykorzystanie punktu widzenia dziecka pozwala na przekazanie prawdy o rzeczywistości (historycznej, społecznej) poprzez analizę jej cech najbardziej oczywistych (np. szczególnego istotnego jest to w obrazie sytuacji politycznej Hiszpanii widzianej przez bohaterkę „Ducha roju”), z drugiej strony zaś pozwala na wniklecie w plastyczny jeszcze osobowość człowieka w momencie, kiedy świat wyściska na niej swoje ślady. Możliwe jest to jednak tylko wówczas, gdy w sposobie przedstawiania świata odrzuci się widzenie tradycyjnie projektujące, którego przykłady w dowolnej liczbie

można by przywoływać z miniołnego i bieżącego repertuaru naszej i obcej produkcji. Dydaktyzmem — obowiązkowo obecny w filmach o dzieciach przeznaczonych dla dzieci ukształtował obraz rzeczywistości poprzedzianej wedle granic społecznych, klasowych, z rozróżnieniem na złych i dobrych, godnych pochwały i nagany. Jasne jest, że ma on charakter całkowicie re-

ralny, przyswojony trwale przez archaiczną, wiejską kulturę rytym zajęć i obrzędów. Kultura ta pokazana jest w filmie w sposób inwentaryzowy: jako zbiór pewnych cech i czynności; rzeczywistość trwa poza czasem historycznym, w odróżnieniu jednak od filmów przywoływanych poprzednio, prawa — którymi rządzi się świat, społeczność wiejska — nie są przyjmowane

przez bohatera z trudnością, z dramatycznym oporem tak jak przez Anę z „Nakarmić krulki” i prawną jej światła. Wspomnienia idealizujące przeszłość intensyfikują nie tyle jej przeżycie, ile malowniczość odległego świata, który odbierany jest w zasadzie bezproblemowo. Zresztą w trakcie oglądania filmu okazuje się, że zamierzonym twórcy jest wniklecie w świadomość dziecka nie od strony doświadczeń, w które wpisane są pierwsze wątpliwości, wybory, oceny otaczających go ludzi, ale ze względu na szczególny rodzaj plastycznej wrażliwości (np. zima oglądana przez owal wchuchany w zamrażalnicy szybko). Chodziło więc o znalezienie obrazowego odpowiednika punktu widzenia przyjętego poprzez wybór bohatera. Trudno odmówić filmowi Frejmnisa wywiązania się z tych założeń, ale brak powiązania osiągniętej w ten sposób urody plastycznej utworu z próbą pogle-

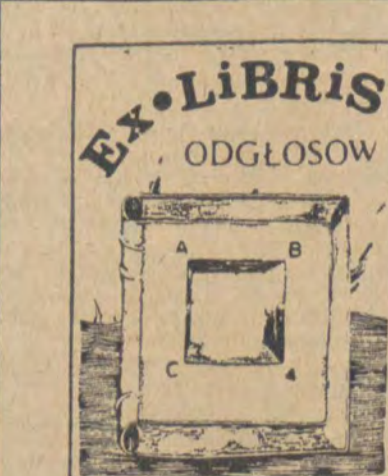
bia, przyswojony trwale przez archaiczną, wiejską kulturę rytym zajęć i obrzędów. Kultura ta pokazana jest w filmie w sposób inwentaryzowy: jako zbiór pewnych cech i czynności; rzeczywistość trwa poza czasem historycznym, w odróżnieniu jednak od filmów przywoływanych poprzednio, prawa — którymi rządzi się świat, społeczność wiejska — nie są przyjmowane

przez bohatera z trudnością, z dramatycznym oporem tak jak przez Anę z „Nakarmić krulki” i prawną jej światła. Wspomnienia idealizujące przeszłość intensyfikują nie tyle jej przeżycie, ile malowniczość odległego świata, który odbierany jest w zasadzie bezproblemowo. Zresztą w trakcie oglądania filmu okazuje się, że zamierzonym twórcy jest wniklecie w świadomość dziecka nie od strony doświadczeń, w które wpisane są pierwsze wątpliwości, wybory, oceny otaczających go ludzi, ale ze względu na szczególny rodzaj plastycznej wrażliwości (np. zima oglądana przez owal wchuchany w zamrażalnicy szybko). Chodziło więc o znalezienie obrazowego odpowiednika punktu widzenia przyjętego poprzez wybór bohatera. Trudno odmówić filmowi Frejmnisa wywiązania się z tych założeń, ale brak powiązania osiągniętej w ten sposób urody plastycznej utworu z próbą pogle-

przez bohatera z trudnością, z dramatycznym oporem tak jak przez Anę z „Nakarmić krulki” i prawną jej światła. Wspomnienia idealizujące przeszłość intensyfikują nie tyle jej przeżycie, ile malowniczość odległego świata, który odbierany jest w zasadzie bezproblemowo. Zresztą w trakcie oglądania filmu okazuje się, że zamierzonym twórcy jest wniklecie w świadomość dziecka nie od strony doświadczeń, w które wpisane są pierwsze wątpliwości, wybory, oceny otaczających go ludzi, ale ze względu na szczególny rodzaj plastycznej wrażliwości (np. zima oglądana przez owal wchuchany w zamrażalnicy szybko). Chodziło więc o znalezienie obrazowego odpowiednika punktu widzenia przyjętego poprzez wybór bohatera. Trudno odmówić filmowi Frejmnisa wywiązania się z tych założeń, ale brak powiązania osiągniętej w ten sposób urody plastycznej utworu z próbą pogle-

Z PUNKTU WIDZENIA DZIECKA

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI



Ex Libris ODGŁOSÓW

MOJE CIENIE

„Moje cienie” to kolejna, równie a może nawet bardziej interesująca niż poprzednie książka Jerzego Waldorffa. Właściwie o jej ukazaniu zainteresujemy się zapewne nie tylko melomanów ale także wszystkich miłośników literatury wspomnieniowej i dokumentalnej. Tym razem bowiem Jerzy Waldorff, wybitny krytyk i publicysta muzyczny prezentuje bardzo ciekawy cykl esejów, osnutych co prawda w swej zasadniczej części wokół spraw Polihymnii, ale raczej związanych z jej głównymi twórcami. Znajdziemy więc na kartach tej książki świetnie napisane szkice o artystach wszystkich epok: o Janie Sebastianie Bachu, o Arturze Rubinście, o Karolu Szymanowskim. Wiele cennych informacji przynosi esej o życiu muzycznym w okupowanej Warszawie. Znamiennym wyda się wspomniany szkic o Jarosławie Iwaszkiewiczu i jego domu w Stawisku, który po upadku powstania warszawskiego stał się azylem dla wielu artystów.

W książce „Moje cienie” znalazły swoje odbicie i właściwa ocena te zjawiska podejmowane przez wielu twórców działania, których celem było ocalenie od zabójczej niepamięci narodowej sztuki, w tym także sztuki ludowej. Jerzy Waldorff pisze o organizowaniu muzeum Karola Szymanowskiego w Zakopanem, „Atmie” i w głębokim poklonie schyla głowę przed pasją Radeusza Sygietyńskiego i Miry Zimińskiej, twórców wspaniałego „Ma-

O wszystkich poruszonych przez siebie sprawach pisze Jerzy Waldorff tym niezwykłym stylem, który sprawia, iż książkę jego czyta się z zapartym zchem i z zalem odkładka po zakończeniu jej lektury. Wysoki poziom pisarstwa Waldorffa daje czytelnikowi wrażenie bezpośredniego uczestnictwa w opisywanych zdarzeniach a sugestyjność i wyjątkowość w głębszej sympatii subiektywizm, z jakim portretuje on swoich przyjaciół daje w efekcie to miłe złudzenie, iż są oni lub byli także naszymi znajomymi, ludźmi niezwykle bliskimi mimo owej aury wielkości, która odgradza artystów od „zjadaczy chleba”.

Cenne i w wielu przypadkach po raz pierwszy podane do wiadomości informacje faktograficzne sprawiają, że książka Waldorffa ma dużą wartość poznawczą, a jej kształt artystyczny czyni z niej pozycję godną zainteresowania wszystkich czytelników.

Jerzy Waldorff, „Moje cienie”, „Czytelnik”, Warszawa 1975. Wydanie I. Cena zł 43,-

W WIRZE WOJNY

40 rocznica wybuchu drugiej wojny światowej przyniosła sporo interesujących opracowań i publikacji. Ukazały się wspomnienia, opracowania historyków i nowe powieści o wrześniu 1939 roku. Jedną z nich jest książka Jerzego Sołty „Wrzesień bez okopów”. Akcja tej powieści dzieje się we Włodzimierzu wołyńskim, Rokitnach, Łodzi, Warszawie, na Polesiu. Jej bohaterem jest podporucznik Wiktor Krzemień z 4 pułku artylerii ciężkiej, który cała wojnę spędził w poszukiwaniu możliwości walki. Jest to więc powieść, która wojnę pokazuje niejako z „drugiego rątu”. Wiktor Krzemień rwał się do walki, ale jego karta mobilizacyjna miała niebieski skóśny nasek, miał się stawić nie wcześniej, jak piątego dnia wojny. A kiedy już doznał tego dnia i stawił się w pułku w Łodzi, poleciono mu zająć się rekwirowaniem koni dla pułku. Ale pułku już nie było w Łodzi, edy do niego wracali. I tak zaczęła się dla Wiktora Krzemienia wojenna tułaczka w poszukiwaniu pułku i możliwości walki, choć walka trwała wokół. A on był artylerzysta i chciał szukać swego pułku, lub choć innego, aby do tej walki włączyć się jako artylerzysta.

Powieść pisana z perspektywy czasu ukazuje ludzkie postawy bardziej już przewarstwione, precyzyjnie orientujące to, co się wokół nich dzieje. Tułaczka podporucznika Krzemienia poz-

woliła autorowi pokazać wiele ciekawych wydarzeń rozgrywających się jakby w drugiej linii frontu.

Jerzy Sołta — „Wrzesień bez okopów”, MON, Warszawa 1975, str. 250, cena zł 15,-

Z ELWIRĄ U WÓD

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się książka czeskiego pisarza, Mirosława Kapeka „Z Elwirą u wód”. Fabuła tej jest niezwykle prosta. Historia starego kawalera Bzysława, 40-letniego przez zakochaną w nim Elwirę jest raczej pretekstem do pokazania, w krzywym zwierciadle współczesnej czeskiej rzeczywistości, próbą wykpienia tradycyjnych wad czeskiej mentalności i charakteru.

Szczególnie ulubionym chwytem autora jest komizm sytuacyjny: popłoch uczestników wycieczki, gdy dowiedzieli się, że do rupy wkrólono muchomor i rozładowanie sytuacji, gdy okazało się, że informacja jest fałszywa, postać emerytowanego policjanta, który przy najmniejszym niebezpieczeństwie drży jak osika, itp. Dużą rolę odgrywa też w powieści karykaturalny opis niektórych postaci.

I choć — jak pisze w posłowiu do książki Bogusław S. Kunda, wielokrotnie tę książkę, która w Czechosłowacji jest niezwykle popularna i miała kilka wydań — porównywano do słynnych „Przygód dobrego wojaka Szwajka” Jaroslawa Haszka to jednak zupełnie różne. To, co u Haszka w innej sytuacji historycznej i społecznej było pozytywne i pozwalało Szwajce darzyć sympatią, to u Kapeka staje się powodem do niepokojów.

Książka, jak zapewnił nas Bogusław Kunda, pełna jest aluzji politycznych i społecznych. Dla polskiego czytelnika nie są one zawsze zrozumiałe, nie mają one wartości, wspaniale karykaturalnie zarysowane postaci, dowcip, lekkość i wdzięk.

Mirosław Kapek, „Z Elwirą u wód”, nakład — Maria Janusz, Wyd. Literackie, Kraków 1975, str. 261, cena zł 25,-

woliła autorowi pokazać wiele ciekawych wydarzeń rozgrywających się jakby w drugiej linii frontu.

Jerzy Sołta — „Wrzesień bez okopów”, MON, Warszawa 1975, str. 250, cena zł 15,-

Z ELWIRĄ U WÓD

Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się książka czeskiego pisarza, Mirosława Kapeka „Z Elwirą u wód”. Fabuła tej jest niezwykle prosta. Historia starego kawalera Bzysława, 40-letniego przez zakochaną w nim Elwirę jest raczej pretekstem do pokazania, w krzywym zwierciadle współczesnej czeskiej rzeczywistości, próbą wykpienia tradycyjnych wad czeskiej mentalności i charakteru.

Szczególnie ulubionym chwytem autora jest komizm sytuacyjny: popłoch uczestników wycieczki, gdy dowiedzieli się, że do rupy wkrólono muchomor i rozładowanie sytuacji, gdy okazało się, że informacja jest fałszywa, postać emerytowanego policjanta, który przy najmniejszym niebezpieczeństwie drży jak osika, itp. Dużą rolę odgrywa też w powieści karykaturalny opis niektórych postaci.

I choć — jak pisze w posłowiu do książki Bogusław S. Kunda, wielokrotnie tę książkę, która w Czechosłowacji jest niezwykle popularna i miała kilka wydań — porównywano do słynnych „Przygód dobrego wojaka Szwajka” Jaroslawa Haszka to jednak zupełnie różne. To, co u Haszka w innej sytuacji historycznej i społecznej było pozytywne i pozwalało Szwajce darzyć sympatią, to u Kapeka staje się powodem do niepokojów.

Książka, jak zapewnił nas Bogusław Kunda, pełna jest aluzji politycznych i społecznych. Dla polskiego czytelnika nie są one zawsze zrozumiałe, nie mają one wartości, wspaniale karykaturalnie zarysowane postaci, dowcip, lekkość i wdzięk.

Mirosław Kapek, „Z Elwirą u wód”, nakład — Maria Janusz, Wyd. Literackie, Kraków 1975, str. 261, cena zł 25,-

SPORT

Mecz kadry olimpijskiej z Węgrami we Wrocławiu jeszcze raz potwierdził słabość polskiej piłki nożnej. Na tle nie najsiłniejszego przeciwnika nasza drużyna grała jak w przeciętnym ligowym spotkaniu. Wygrała wprawdzie 1:0, ale taki wynik umacnia tylko szanse drużyny CSRS na udział w olimpijskich finałach. Postawa Polaków we Wrocławiu stała się jeszcze jednym argumentem w toczącej się dyskusji o naszej piłce nożnej. Dyskusja, która rozgorzała na dobre po wyeliminowaniu polskiej reprezentacji z mistrzostw Europy.

Nie zapominać

Po nieudanym spotkaniu nasi piłkarze często mówili: „Trzeba jak najszybciej zapomnieć o tym meczu”. Jest to ładne, ale niebezpieczne powiedzenie. Sugeruje ono, że drużynie zdarzył się przypadkowo nieudany mecz. Oczywiście każdej drużynie może się taki mecz zdarzyć, nawet najlepszej. Ale i ta najlepsza nie powinna o tym zapominać. Powinna się zastanowić, dlaczego tak się stało.

Pierwszymi meczami, o których chciano jak najszybciej zapomnieć, były występy naszych srebrnych medalistów z 1974 roku w meczach międzypaństwowych i na Igrzyskach Olimpijskich w 1976 roku. Już wtedy zaczął się kryzys którego nie chciano, albo nie umiano dostrzec. Pojawiały się wprawdzie nieśmiałe głosy krytyki, ale ginęły w ogólnej wrzawie — fajno jest. Jest srebrny medal!

Powtarzam: dobre drużynie zdarzają się gorze mecze. U nas było odwrotnie. Nam zdarzały się dobre mecze. Przysłaniały one skutecznie coraz wyraźniej narastający kryzys. Nie zakwalifikowaliśmy się do mistrzostw Europy, ale wszyscy się pocieszały, że nasza drużyna wystąpi w Mundialu 78. Byliśmy trzecią drużyną świata, a mistrzostwa świata były ważniejsze od mistrzostw Europy. Liczyliśmy szanse i czekaliśmy na wynik losowania.

Teoretyczne szanse

W teoretycznym obliczaniu szans jesteśmy mistrzami. Potrafimy doskonale wyliczyć, ile kto z kim musi przegrać, ile kto z kim musi wygrać, żebyśmy wyszli na czoło grupy. Na Mundial 78 wylosowaliśmy słabą grupę, ale i tak nie przyszło nam zbyt łatwo zakwalifikować się do Argentyny. Ciągłe podnosiły się głosy krytykujące grę niektórych piłkarzy i mówiono o konieczności przebudowy reprezentacji, to mimo to Jacek Gmoch zapowiadał niebawmy sukces w Argentynie. Miało być tak dobrze, jak nigdy jeszcze nie było. Być może Jacek Gmoch zapatrzył się na Huberta Wagnera, który dwukrotnie zapowiedział zdobycie złotego medalu i dwukrotnie go zdobył. Pomni zapewnień Jacka Gmocha, remis w meczu inauguracyjnym z RFN przyjęliśmy jako zapowiedź sukcesu. Posypały się gratulacje. A potem było nieco gorzej. W efekcie musieliśmy się zadowolić hipotetycznym piątym albo szóstym miejscem, a spuściznę po Gmochu przejął Ryszard Kulesza. Z piłką nożną w dalszym ciągu nie było najlepiej, ale PZPN krytyki nie przyjmował.

Nadal więc bawiliśmy się w teoretyczne obliczanie szans. Ta metoda obowiązuje zresztą do dziś. Ryszard Kulesza, odpowiadając na pytania czytelników katowickiego „Sportu”, twierdzi:

„Uważam, że stać nas na zbudowanie drużyny potrafiącej zdystansować NRD i Malte, wywalczając awans do hiszpańskich finałów. Wypowiadałem się tuż po losowaniu, że wolelibyśmy rywalizować w grupie składającej się z pięciu drużyn. Skoro jednak fortuna chciała inaczej, postaramy się, aby z trzydrużynowej grupy wyjść zwycięsko.”

Aby jednak ten cel osiągnąć, trzeba strzelać przeciwnikom gole. A tego nasi reprezentanci — niestety — nie umieją. Nie strzelają goli w meczach międzypaństwowych, nie strzelają — na ogół — w meczach ligowych. I znowu teoretyczna tylko szansa daje nam zapewnienie Ryszarda Kuleszy, że „postaramy się zaplanować mecze o punkty MS na 1981 rok.” Swoją drogą ciekawa jestem, kto się o to postara, skoro wśród 146 członków FIFA, nie ma żadnego przedstawiciela Polski, a jedyny nasz przedstawiciel w UEFA niewiele nam tu akurat pomoże. A w umiejętności dyplomatyczne działaczy PZPN nie bardzo wierzę. Nie umiano często znaleźć meczów sparingowych z dobrymi zagranicznymi drużynami. Zgodzono się, aby dwie nasze reprezentacje dwukrotnie tego samego dnia rozgrywały mecze eliminacyjne do mistrzostw Europy i olimpiady.

Poza tym nie wierzę, że przez rok niektórzy nasi reprezentanci nauczą się strzelać gole, skoro nie nauczyli się tego w szkółce piłkarskiej, albo, że przypomną sobie, jak to się dawniej robiło.

Rozpruty worek

Już od dawna nieśmiało próbowano zwracać uwagę na fakt, że słabość naszej reprezentacji biorą się z niskiego poziomu ligi. Z tej nie normalnej sytuacji próbowano nawet stworzyć naszą, polską specyfikę. Anglicy — mówiono — mają silne zespoły ligowe, ale słabą reprezentację. My natomiast mamy znakomitą reprezentację, chociaż mamy słabą ligę. Działacze i trenerzy klubowi od dawna zwracali uwagę, że podporządkowanie interesów ligi interesom reprezentacji do niczego dobrego nie prowadzi. Osłabia to i ligę, i reprezentację. Taki pogląd uznawano za klubowy partykularizm i zbywano go machnięciem ręki. Reprezentacja — owszem — wygrywała, przegrywała, remisowała, ale klubowe drużyny nie odnosiły żadnych sukcesów w europejskich pucharach. W lidze działało się coraz gorzej.

Od dość dawna pojawiały się na łamach prasy krytyczne uwagi o postawach niektórych piłkarzy. Przypomnijmy może sobie: pisano o

wybrykach Adama Musiała, Jerzego Gorgonia, Andrzeja Szarmacha, Andrzeja Iwana. Pisano też krytycznie o postawie na boisku Jana Tomaszewskiego i Zbigniewa Bońka. Pisano również o kradzieżach, jakich dopuścili się za granicą najmłodszy piłkarze. Pisano o drużynie drugoligowego Hutnika z Krakowa, która demonstracyjnie opuściła boisko podczas meczu z warszawskim Polonezem. Były to jednak głosy pojedyncze, rozproszone w różnych sportowych gazetach, głosy, które gubiły się w nieustannej fali optymizmu i zapewnień, że jednak wyeliminowanie naszych zespołów z pucharów europejskich, z mistrzostw Europy Under 21, z mistrzostw Europy i praktycznie z olimpiady w Moskwie, zmieniło radykalnie sytuację i skłoniło wreszcie do szukania przyczyn kryzysu.

Waldemar Łysiak, w opublikowanym na łamach „Kultury” artykule „Sportowe piętno”, zebrał wszystkie piłkarskie skandale w jedno, sugerując, że demoralizacja naszych zawodników sięgnęła dna, czyli od reprezentacji zesłała do

Jeleń z katowickiego „Sportu” przypomniał sobie, że Pan A. po meczu z Peru w Mendoczie kazał się od... wysłannikowi PAP. Wojciech Filipiak z „Głosu Robotniczego” przypomniał sobie mimochodem, że wyproszono go kiedyś z autokaru, w którym na mecz jechali piłkarze. Okazało się poza tym, że nasi reprezentanci przed wyjazdem do Lipska urządzili sobie „zabawę” w „Novotelu”, że po powrocie ze Szwajcarii nie można było pokazać piłkarzy w telewizji, że względu na ich „stan nieważkości”. Okazało się również, że w samolocie lecącym do Amsterdamu, niektórzy piłkarze poszczekiwali na dziennikarzy, wymyślali im od szakali, a później na lotnisku nie pozwolili dziennikarzom wsiąść do swojego autokaru. Janusz Jeleń napisał również, że w samolocie wracającym z Amsterdamu „steward z butelką dyskretnie owiniętą w serwetkę” często zaglądał do kabiny, w której siedzieli piłkarze. Nie pomogła interwencja trenera, a z kabiny piłkarzy dochodził coraz radośniejszy gwar.

Dla kibiców od dawna nie było tajemnicą, że

miętam także, że parę lat temu na rozmowy z dziennikarzami nie mieli ochoty Jan Domarski i Grzegorz Lato. Obaj ze Stali Mielec. Zresztą jak napisał niedawno Ryszard Niemiec w „Polityce”, drużyna Stali odmówiła spotkania z załogą WSK Mielec, z załogą, która przeciw tej drużynie utrzymuje.

Nie musiałabym chyba nikogo przekonywać, że kształtowanie właściwego stosunku do krytyki, nawet tej ostrej, ale mającej na celu dobro narodowej reprezentacji, jest również formą pracy wychowawczej, gdybym była przekonana, że tak to rozumie kierownictwo drużyny narodowej. A wątpliwość moja bierze się choćby stąd, że świadkami niewłaściwego zachowania się piłkarzy wobec dziennikarzy w Amsterdamie byli kierownicy polskiej ekipy. W tej sytuacji mogę tylko powtórzyć pytanie: Kto tu kogo i jak wychowuje?

Z drugiej strony trudno mi zrozumieć, dlaczego dziennikarze, znający od dawna te wszystkie sprawy, do tej pory milczeli. Nie rozumieć również dlaczego, mimo różnych afrontów, dziennikarze korzystają nadal z klubowych środków lokomocji, jeżdżąc z drużynami na mecze zarówno w kraju, jak i za granicą.

Chłopcy do bicia

Piłkarze nie darzą sympatią również trenerów. Muszą ich jednak tolerować, chociaż tolerują do czasu. Najczęściej do tego momentu, w którym wymagania trenerów stają się dla nich zbyt uciążliwe. W konflikcie trener — piłkarze przegrywa na ogół trener. Tak było z Leszkiem Jezierskim, tak było z Konstantym Pawlikańcem, tak było z innymi trenerami.

W głośnej sprawie dr Pawlikańca — byłego trenera Stali Mielec, rzecz poszła między innymi o to, że trener odważył się przesunąć bohatera z 1974 roku — Andrzeja Szarmacha, do drugiej drużyny. Krzyk pokrzywdzonej gwiazdy rozległ się na całą Polskę i Szarmach wrócił do pierwszej drużyny, choć nie wrócił już do dawnej formy.

Tymczasem inny bohater z tego samego roku, Kazimierz Deyna grywa sobie spokojnie od czasu do czasu w rezerwach lub s edzi na ławce rezerwowych klubu Manchester City i z całym spokojem, udzielając wywiadu polskim dziennikarzom, stwierdza, że trener jest Bóg i liczy się tylko jego wola. Tego samego zdania jest również Jan Tomaszewski od czasu, kiedy gra w belgijskiej drużynie ligowej.

Okazuje się, że w zawodowych klubach za granicą obowiązują inne zasady i jakości nikt tam nie narzeka na pracę wychowawczą z naszymi byłymi gwiazdami.

PZPN, który do tej pory nie ingerował w konflikty między trenerami a piłkarzami, w konflikty, które na ogół kończyły się zwolnieniem trenera, nagle zmienił postępowanie. Kiedy dotychczasowi trenerzy: Polnisi Bytom — Teodor Wierczok i Widzewa Łódź — Stanisław Świerk złożyli podania o zwolnienie, a oba kluby zaangażowały nowych szkoleniowców, PZPN wyraził swój sprzeciw. Nieco wcześniej zmienił trenerów w „pozańskim Lechu, szczecińskiej Pogoni, rybnickim ROW i GKS Tychy. Do tych zmian PZPN nie zgłosił swoich zastrzeżeń. Dlaczego? Czy jest to właściwa metoda wzmocnienia autorytetu trenera? Nie kwestionuję faktu, że niekiedy kluby rozstają się z trenerami zbyt pochopnie, bo w zmianie trenera, a nie w przebudowie drużyny, widzą sposób na poprawę lokaty w ligowej tabeli. Ale nagle „nie” PZPN w sprawie zmiany trenera w dwu zespołach, w niczym problemu nie rozwiązuje. Umocnia się w tej sytuacji przekonanie, że z trenerami można różnie postępować. Trudno wyobrazić sobie, że na przykład Stanisław Świerk albo Teodor Wierczok, powróciwszy do klubów, nadal będą się cieszyli autorytetem wśród piłkarzy.

I znowu, muszę się zastanowić, co to wszystko ma wspólnego z pracą wychowawczą.

I co teraz?

Każda dyskusja powinna prowadzić do wniosków, w wyniku których nastąpiłyby oczekiwane zmiany. W dyskusji o polskiej piłce nożnej padają również propozycje godne zastanowienia i realizacji. Mówi się na przykład powszechnie o potrzebie rzetelnego szkolenia młodzieży piłkarskiej. Nie słuszniejszego, ale mówi się o tym od kilku lat. Czas to wreszcie zacząć realizować. Mówi się o potrzebie konfrontacji ligowych drużyn z zagranicznymi przeciwnikami. O konfrontacji nie tylko z okazji meczów pucharowych. Jest to również wniosek nie podlegający dyskusji.

Mówi się o zapewnieniu lidze właściwego cyklu rozgrywek, bez dłuższych przerw, o potrzebie racjonalnego szkolenia również w drużynach pierwszoligowych, o poszerzeniu kręgu trenerów, o dopływie młodych dobrze przygotowanych szkoleniowców.

Wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdyby pojawili się również młodzi działacze sportowi, którzy uzupełniliby dotychczasową kadre, pewnie już nieco zmęczonych działaczy.

Katowicki „Sport” zacytował też głos kibica z rozmowy z Ryszardem Kuleszą

„Najwyższa pora, by wprowadzić u nas piłkarstwo zawodowe, zlikwidować ikeję amatorskiego drażniącego społeczeństwo. Było już wiele dyskusji, ale skończyło się ona półśrodkami.” Nie jest to odosobniony głos kibica i takie postulaty trzeba również wziąć pod uwagę, choć zdaje sobie sprawę, że do podjęcia dyskusji na ten temat nie jesteśmy jeszcze przygotowani.

Skoro już zaczęliśmy dyskusować o przyczynach kryzysu w polskiej piłce nożnej, o sprawach obchodzących nie tylko piłkarzy i ludzi z piłką związanych, to należałoby doprowadzić dyskusję do końca. Dla mnie — jeśli już trwać przy sprawach wychowawczych — ma ona taki właśnie walor. Jeśli miałaby być tylko dyskusją dla dyskusji i nie wyciągnięto by z niej właściwych wniosków, to w piłkarskim gronie umocniłoby się przekonanie, że niech oni tam sobie mówią, piszą, a my i tak będziemy robili co zechcemy. A wtedy o wychowaniu nie będzie już po co mówić.

BOGDA MADEJ

KWADRATURA PIŁKI NOŻNEJ

Juniorów i drużyn szkolnych. Stało się już niemal tradycją, że kiedy tylko próbujemy szukać przyczyn kryzysu w sporcie, to natychmiast wyciągamy z zanadru hasło o potrzebie wzmocnienia pracy wychowawczej. Waldemar Łysiak dokładnie zmieścił się w tej tradycji.

Ciągle się zastanawiam, co kto rozumie pod pojęciem „pracy wychowawczej”. Bo jest to w gruncie rzeczy pojęcie niezwykle pojemne, wórek, do którego wszystko można wrzucić. Fakty, o których pisze Łysiak, budzą naturalny sprzeciw każdego obywatela. Każdy rozumie, że trzeba taką sytuację rozwiązać. Tylko kto ma to zrobić, skoro starsi piłkarze demoralizują młodych piłkarzy, młodzi demoralizują się wzajemnie, piłkarze demoralizują działaczy, a działacze demoralizują piłkarzy. Kibice pewnie też nie są bez winy. Wobec tego powstaje pytanie: kto jest ten sprawiedliwy i gdzie go szukać? I Waldemar Łysiak też nie daje na to pytanie odpowiedzi.

Poza tym Łysiak nie dopowiada wszystkiego do końca. Na przykład sprawa Andrzeja Iwana, o której również pisze, nie znalazła przecież swojego finału. PZPN skierował Iwanowi karę. Na skutek protestów kibiców, GKKS zawięsił decyzję PZPN i nakazał sprawę ponownie rozpatrzyć. PZPN milczy, GKKS też milczy, a Iwan gra dalej. Nie zdziwiłby się, jeśli PZPN zdecydowałby się wrócić do sprawy i zawięsił Iwana w najbliższym czasie, bo kończy się jesienna runda rozgrywek i będzie przerwa. Karanie zawodników zawieszaniem w grze na okres zimowych ferii jest znana metoda, zdarzało się to już w praktyce PZPN. Zastanawiam się więc, kto tu kogo wychowuje?

Niewątpliwa jednak zasługą Waldemara Łysiaka jest rozprucie worka z pretensjami pod adresem piłkarzy, trenerów, działaczy, dziennikarzy, PZPN.

Obrażani mają głos

Jest taka stara zasada, która głosi, że zwycięzcom się nie sędzi. Póki więc nasi piłkarze z trudem brali przeszkody, wybaczano im wiele. Nie wiem, czy to było wychowawcze, ale tak było. Kiedy zostaliśmy wyeliminowani z wszystkich możliwych rozgrywek, przypominano sobie nagłe o różnych piłkarskich wybrykach. Janusz

piłkarze popijają. Zdarzały się takie wypadki, że do niektórych trenerów dzwonił z restauracji kibice, informując, iż właśnie trwa suto zakrapiana zabawa, w której uczestniczą piłkarze rozgrywający najajutrz ważny mecz. Ryszard Kulesza w odpowiedziach na pytania czytelników „Sportu” powiedział, że nie jest wprawdzie zwolennikiem celibatu, „lecz na wszystko musi być miejsce i czas” oraz, że „niektórzy zawodnicy o tym zapomnieli”. Wymienił Młynarczyka, Wróbla, Sobola i Kmiecika, których nie powoływał z tego powodu do kadry. Po tym stwierdzeniu zastanawiam się, czy Ryszard Kulesza powiedział wszystko. Bo oto w „Przeglądzie Sportowym”, w artykule Ryszarda Kowalskiego „Bez niedomówień”, czytamy co następuje:

„Publiczną tajemnicą jest kilka przypadków zatrzymania przez funkcjonariuszy MO praw jazdy piłkarzom Stali za prowadzenie samochodu w stanie wskazującym na spożywanie alkoholu; w tym roku przytrafiło się to Kukli.”

Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żeby Zygmunt Kukli nie występował w reprezentacji.

Nie jest również tajemnicą, że niektórzy piłkarze nie lubią rozmawiać z dziennikarzami. Wprawdzie Ryszard Kulesza mówi:

„Piłkarze czują się trochę rozżaleni za niezbyt obiektywne — ich zdaniem — spojrzenie na mecz z NRD w Chorzowie i z Islandią w Krakowie. Oni naprawdę potrafili przynależć się do błędu, widzą mankamenty w poczynaniach drużyny, ale nie można odmówić im ambicji, chęci walki, ogromnego zaangażowania, walorów prezentowanych w każdym meczu międzypaństwowym czy międzynarodowym. Tymczasem częste publikacje w prasie lokalnej drukowała materiały wręcz obrażające zawodników, krzywdzące.” („Sport” 29.X.1979).

Nie dziwi mnie ta wypowiedź, gdyż w tymże samym zapisie rozmowy Ryszarda Kuleszy z czytelnikami „Sportu”, trener reprezentacji mówi, iż osobą najbardziej kompetentną w ocenie meczu jest „przede wszystkim trener, znający przed spotkaniem najdokładniej założenia taktyczne, mogący na bieżąco obserwować sposoby ich realizacji”.

Nie dziwi mnie więc ten stosunek piłkarzy do krytyki prasowej, gdyż jeszcze nie tak dawno podobne poglądy głosił Jacek Gmoch. Pa-



„Oni naprawdę potrafili przynależć się do błędu.”

Swego czasu, zirytywany pewną non-szalancją publikacją, napisałem felieton pt. „Ten okropny Przybyszewski”. Rzecz była polemiczna — nie dotykała wszakże istoty rzeczy, czyli fascynacji Stanisławem Przybyszewskim.

A jest to zjawisko przedziwne. Przecież i moja ówczesna polemika z poznańskim felietonistą była efektem fascynacji. Gdyby mnie Przybyszewski ani ziębił, ani parzył — nie ująłbym się o jego dobre imię, nie protestowałbym przeciwko wyzwiściom i epitetom mojego adwersarza. A z drugiej strony — gdyby Przybyszewski ani ziębił, ani parzył owego poznańskiego publicystę, też nie rzuciłby on na pisarza takich wyzwisk i epitetów. Widocznie coś go w Przybyszewskim irytowało...

Co zatem jest w tej legendzie Przybyszewskiego? Przecież nie funkcjonuje już w naszej literaturze jego pióro. Nikt nie gra jego sztuk, nikt nie czyta i nie wydaje jego książek — pisanych okropną manierą, dziś prawie śmiesznych, a już na pewno nie do czytania.

Pierwsze moje spotkanie z Przybyszewskim nastąpiło poprzez wspomnienia Boya. Dziwna rzecz — ten rzetelny racjonalista też się jakoś nie mógł — nawet po latach — wyzwolić spod uroku „Smutnego Szatana”. Wspomnienia Boya aż kipią fascynacją, nawet opisując ewidentne kabotyństwa Przybyszewskiego. Zelenieckiego nie opuszcza sympatia i czułość dla człowieka, w którego żonie — jak się zdaje, beznadziejnie — się kochał.

Kiedy potem przeczytałem „Na rozstaju” — manieryczną, pretensjonalną powieść, nie miałem nawet ochoty na lekturę pozostałych części trylogii. A jednak Przybyszewski nie przestawał mnie intrygować.

Czy tylko mnie? Prof. Stanisław Hel-szyński poświęcił Przybyszewskiemu solidne studium. Ewa Kossak wydała sześć lat temu dużą, dokumentalną opowieść o Dagny, książkę która w gruncie rzeczy jest przeciwieństwem opowieści o Przybyszewskim. Jest to zresztą oczywiste, bez niego piękna Norweżka pozostałaby nikomu nie znana Dagny Juel, nie weszłaby do legendy Młodej Polski. To legenda Przy-

UROK SZATANA

byszewskiego nobilitowała ją do rangi zblakanej gwiazdy epoki.

Trzy lata później Krystyna Kolińska opublikowała głośną książkę „Stachu”, także dokumentalną opowieść o kobietach i dzieciach „Smutnego Szatana”. Autorka już na wstępie wyznaje, że legenda i fascynacja zrodzone z tej legendy interesują ją od dawna. I pisze jeszcze, że eseje, dramaty i powieści Przybyszewskiego „wciągały mnie o tyle, o ile wiązały się z jego życiem” (podkreślenie moje).

To podkreślenie jest wymowne. Twórczość Przybyszewskiego nie istnieje

współcześnie. Biblioteka Narodowa „Osolineum” oddała mu historyczno-literacką sprawiedliwość publikując niewielki profesorski „Wybór pism”. I koniec. Daty ostatnich wydań powieści Przybyszewskiego to lata 1923—1929.

Minęło pół wieku zaledwie, co dla literatury jest małą chwilą, a twórczość Przybyszewskiego przestała istnieć dla czytelnika. A jednak...

Właśnie. A jednak istnieje, jest, funkcjonuje jego „urok szatana”. Wciąż powstają o nim nowe książki, wciąż rosną zastępy czytelników, którzy tak chętnie chłoną legendę o nim, ale nie znają jego twórczości.

U progu tego roku — w pół wieku po ostatniej książce Przybyszewskiego — ukazuje się kolejna, tym razem bardzo wybitna publikacja o „Smutnym Szatanie”. Maria Kuncewiczowa wydaje esej „Fantasia alla polacca”. Więc znów fascynacja, tym razem pisarki tak przecież dalekiej od alkoholowych oparów, jakimisż zionie legendy Przybyszewskiego. „Fantasia...” jest apelem o zrozumienie tego człowieka, zrozumienie jego dzieła, a może także apelem o zrozumienie epoki?

Wychowany w Norwegii syn pisarza, p. Westrup-Przybyszewski, powiedział kiedyś w wywiadzie dla „Polityki”: „Nie rozumiem dlaczego go do dziś podziwiają. Sam go wcale nie czytam...”

Syn pisarza nie rozumie tych fascynacji i skąd się one biorą. A może odpowiedź należy poszukać właśnie w książce Marii Kuncewiczowej, w książce o wymownym tytule „Fantasia alla polacca?”

WIDOK

HENRYK WALENDA



Ma coś z tej gracji: Był w dyplomacji

Rys: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

„CZŁOWIEK RENESANSU”

Bardzo mi się spodobała opowieść mojego znajomego inżyniera Arnolda Drewniaka o „człowieku renesansu”. Na osiedlu, gdzie mieszka inż. Arnold D. ni przesadna tytułomania, więc dnia kpinny tytułujemy się o dzieła inżyniera. Jednego dnia mówimy do siebie per „panie do-naczenie”, innego — „panie mece-nasie”, „panie profesorze”, „pa-nie naczelniku” i tak dalej. Tego dnia akurat mój kolega powiatał mnie słowami: „kłaniam się nisko panu docentowi”. Usłyszał to „człowiek renesansu” i był nie-pocieszony, że ocenil mnie niżej mojej społecznej pozycji. Musiał jest to taka „złota rączka”. Nie-lem mu długo tłumaczyć, że to nasz osiedlowy „człowiek renesansu” jest czymś więcej. On ma nie tylko pragmatyczny stosunek do rzeczywistości, on ma do wszystkiego stosunek filozoficzny. Można powiedzieć, że jego nieustająca pasja jest szukanie sensu życia we wszystkim, co robi.

Na przykład — opowiadał dalej inż. Arnold Drewniak — nasz „człowiek renesansu” stara się wartościować ludzi. On wie, że ludzie go potrzebują, bo jak ko-muś nawali kran i woda zalewa kuchnię, to tylko wezwąć „czło-wieka renesansu”, a zaraz wszyst-ko będzie jak być powinno. Ale on, chodząc po mieszkaniach naszego osiedla, przygląda się ludziom i jakie faktycznie posiada on war-tości, a nie tylko, co ma wypisa-ne na wizytówce na drzwiach.

Są ludzie, którzy dbają, aby zostali umieszczeni we właści-wym przedziale społecznym, aby nie im nie odebrano z tego, co osiągnęli i aby nie przesunęto ich do innego przedziału bez ich zaslugi, ale i są tacy, którzy o nie nie dbają, bo obchodzi ich głównie to, co robią i jak robią. Niektórzy na przykład nie nie piszą na wizytówce i „człowiek renesansu” ma z nimi najwięcej kłopotu, bo nie wie, czy oni rzeczywiście są nikim, czy tylko udają.

Nasz „człowiek renesansu” widzi przecież, że ludzie witając się, pozdrawiając się, posługują się różnymi tytułami: „cześć me-cenasie”, „witam pana kierowni-ka”, „kłaniam się naczelnikowi”, „szacunek dla pana docenta”, „wszystkiego dobrego panie dok-torze”, „dzień dobry panie gis-trze”. Mnie „człowiek rene-sansu” tytułuje „panem inżynie-rem”, choć nie wypisałem tego na wizytówce, ale pech chce, że jestem inżynierem. Pewnego dnia mimo woli zrobiliśmy z kolegą figla naszemu „człowiekowi re-nesansu”.

Mieszkamy z kolegą w tym sa-mym bloku, tylko w innej klatce schodowej. Wychodzimy do pracy o jednej porze i nasze samochody stoją obok siebie. Obu nas draż-dzię mieszka inż. Arnold D. ni przesadna tytułomania, więc dnia kpinny tytułujemy się o dzieła inżyniera. Jednego dnia mówimy do siebie per „panie do-naczenie”, innego — „panie mece-nasie”, „panie profesorze”, „pa-nie naczelniku” i tak dalej. Tego dnia akurat mój kolega powiatał mnie słowami: „kłaniam się nisko panu docentowi”. Usłyszał to „człowiek renesansu” i był nie-pocieszony, że ocenil mnie niżej mojej społecznej pozycji. Musiał jest to taka „złota rączka”. Nie-lem mu długo tłumaczyć, że to nasz osiedlowy „człowiek renesansu” jest czymś więcej. On ma nie tylko pragmatyczny stosunek do rzeczywistości, on ma do wszystkiego stosunek filozoficzny. Można powiedzieć, że jego nieustająca pasja jest szukanie sensu życia we wszystkim, co robi.

— Trzeba uszanować, to co so-bie człowiek zdobył. Inna rzecz, czy on sobie na to zasłużył. Ale jak ma, to niech się z tego cie-szy.

I opowiedział mi historię czło-wieka, który wysoko zaszedł, lu-dzie mu się kłaniali, choć licho wie, czy go poważali i pewnego dnia wszystko się zawaliło. Skończyły się zaszczyty, wizyty i u-klony. Człowiek ten stał w oknie swojego małego pokoiku w małym biurze i patrzył godzinami przez szybę, jakby wyglądał w oczekiwaniu na powrót minio-nego życia. A życie się już nie cofa. Mogł się tylko przyglądać wspomnieniom, jak swemu odbi-ciu w brudnej szybie.

— Każdy z nas — zakończył „człowiek renesansu” — chce więcej znaczyć niż może. Ja też nie zawsze reperowałem ludziom krany. Ale było, minęło. Teraz sobie odpoczywam po trudach życia i pomagam ludziom, jak mogę i potrafię. A pan, inżynie-rze, może jeszcze zostać docen-tem. Młody pan, wszystko przed panem.

Jak my mało wiemy o ludziach — zamyślił się inżynier Arnold Drewniak — sądzimy ich z pozoro-w, przyklepamy etykiety i nie mamy czasu zastanowić się, co naprawdę są warci. — Zapatrzył się nagle w okno, zagłębiając się w swoich myślach.

— O, do diabła — powiedział nagle spojrzawszy na zegarek — znów się spóźniłem. A niech to licho porwie! Cześ! — I już go nie było. Nawet nie zdążyłem odpowiedzieć mu na pożegnanie.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

Czytam uczone rozstrząsania o tym, czy starość nazwać trzecim wiekiem, czy wiekiem poprodukcyjnym, czy jeszcze inaczej i — dziwię się, cóż to właściwie za smartwienie? Dozorcy obrażali się podobno na nazwę swego zawodu i chcą ich nobilitować w sferze nomenklatury trzeba było wymyślić „gospodarza domu”. Czy dozorca w parku jest teraz gospodarzem parku — nie wiem, pewniejsze jest raczej że w parkach w ogóle nie ma kogoś takiego, co by zbierał papiery na łaskę ze szpikulcem, nie pozwalał deptać trawników i przewracać ławek. Już i listonosz zaczął być odczuwalny obraźli-wie, skoro przechrzczono go na doręczyciela. Komuś podobnie musiało się wydać obraźliwym samo napomknięcie o jego osiemdziesiąciu latach i słowo „stary” uznał za obelgę. Pełz estymy brzmiało dawniej w wyrażeniach: stary mędrzec, stary wyjadacz, stary cwaniak. Teraz bę-dziemy mówić: „wyjadacz w trzecim wieku” i „cwaniak poprodukcyjny”, żeby nikogo nie urazić. Spór o nomenklaturę trwa i zaczyna się wydawać, że los sta-rych ludzi, wszelkie zabiegi o ich lepsze samopoczucie, ich humanitarne urządze-nie w społeczeństwie zależą głównie od nazwy, od sloganu, pod jakim dopiero ruszymy do akcji.

W ogóle wydaje mi się, że wokół proble-mu starzenia się społeczeństw istnieje wiele zamieszania. Ze się starzeją — to pewne. Dlatego w takim razie „Kobieta i Życie”, a także inne pisma rozdzielają szaty nad zanikiem tradycyjnej rodziny trzypokolenowej? Przecież właśnie dopie-ro dziś żyją obok siebie naprawdę trzy pokolenia. Z moich czworga dziadków

pamiętam jak przez mgłę tylko jedną o-sobę; znam dziesiątki moich rówieśników, których dziadkowie nie zdążyli na oczy zobaczyć. Dziś wcale nierzadka jest ko-egzystencja prababci, z prawnuczkami, co jeszcze pół wieku temu prawie że się nie zdarzało. A więc dopiero dziś są rodziny trzy — lub nawet czteropokoleniowe, tyl-ko, że samo pojęcie rodziny zwietrzało, zwątało, przestało być synonimem bar-

WYKREŚLIĆ TO SŁOWO!

dzo zwartej, solidarnej, oddanej sobie bez reszty grupy ludzkiej. Ale to już inny temat.

Wiele się mówi o tym, czy starzy ludzie powinni dożywać w osobnych schroni-kach (lub eufemistycznie: w Domach Trzeciego Wieku, Domach Złotej Jesieni itp.), zlokalizowanych gdzieś na uboczu, czy budować dla seniorów domy dzien-nego pobytu, czy zwyczajnie, ale trochę przysposobione bloki w normalnych osie-dlach. Dyskusja trwa, a tymczasem życie rozwiązuje sprawę po swojemu i to w sposób nieoczekiwany. Oto zwyczajnie, całkiem nowe domy i bloki stają się pew-

nego dnia domami rencistów. W jaki spo-sób?

Ano — nowy blok zasiedla się młody-mi małżeństwami. Młode małżeństwa ma-ją dzieci, które już po dwudziestu pięciu latach stają się nowymi młodymi mał-żeństwami i zasiedlają nowy jakiś blok, zostawiając w dotychczasowym M-trzy rodziców około pięćdziesiątki, a więc w pełni sił, w najlepszym wieku produk-cyjnym. Rodzice są właśnie u szczytu swych życiowych sukcesów, zmieniają prędko meblowanie, urządzają się na no-wo, swobodnie, na zwiększonym me-trażu. Szczyt sukcesów jednakże po paru latach nieuchronnie mijają i zaczyna się „trzeci wiek”. Całe kłatki schodowe, całe bloki oddane do użytku trzydzieści lat temu okazują się pozabawione dzieci i młodzie-ży i stają się właśnie blokami rencistów. To jest zjawisko, które będzie się powta-rzać i upowszechniać, a nie zostało jesz-cze zauważone przez żadnego z uczonych seniorologów. Co wymyślą, jak skorygują swą dyskusję, gdy wreszcie zjawisko to zauważą? Czy nie wyskoczy ktoś z projek-tem: z chwilą ożenku młodych da-wać nowe, małe mieszkania ich rodzicom, a właśnie nowożeńców zostawić w rozluź-nionym gnieździe, w którym przyszl na świat?

Czekamy. Na razie jednak najważniejsza sprawa: nie wspominać o starości. Wykreślić to słowo, jak polinezyjskie ta-bu, ze słownika. Starości nie ma. Jest trzeci wiek poprodukcyjny.

CWIEK

ZAMIAST FELIETONU



Rys. Andrzej Tylczyński

Załącznik nr.

501.../79

HASŁO NUMERU: Lekarzu, lecz się sam (Boże broń w przychodni!)

SĄ TAKIE CHWILE

Jan Górec-Rosiński zwierzył się w „Szlakach” („Chwila zadumy”, nr 42):

„Są takie chwile w życiu człowieka, kiedy nastaje potrzeba retrospektywnego spojrzenia wstecz...”

Słownik Wyrazów Obcych: „Retro — w złożeniach: do tyłu, w tył, wstecz”. Są więc i takie chwile w życiu człowieka, kiedy nastaje potrzeba zajrzenia do Kopalnińskiego. Nawet jeżeli jest się naczelnym zaprzyjaźnionym tygodnika.

Inaczej groźba poślizgi. Na przykład na maśle maślanym.

WŁĄCZYŁ SIĘ

Do grona dziwnych facetów, zapraszających na wodkę, a potem — jak się okazuje — pozabawionych pieniędzy włączył się niedawno Jan M. Właczanie odbyło się 27 października br. w

lokalu pt. „Przemysłowa”. Świadkami zdarzenia byli znani krytycy teatralni: Marian S. z Krakowa i Jan K. z Warszawy. Oraz Wasz Cichy Donosiciel. (t. s.)

DALI ODPÓR

Wojciech Filipiak — „Głos Robotniczy” Łódź — naraził się

KRONIKA TOWARZYSKA

„Przeładowi Sportowemu” i „Expressowi Ilustrowanemu”. Oba pisma dały odpór, nawet zdecydowany. A rzecz poszła o to, że W. Filipiak napisał między innymi: „By zarzucić komuś nieuczciwość, trzeba samemu być fair”.

Dyskusja rozwija się. Czekamy kto następny da odpór.

MA KOTA

Paweł Karolak — „Życie Gos-

podarcze” Warszawa — zwierzył się Czytelnikom, że posiada kota, a jego sąsiedzi mają psy. I bardzo dobrze. Ale on, Paweł Karolak uważa, że „dobrze byłoby wiedzieć i u nas, jakie są społeczne koszty utrzymania psów, kotów, kanarków i czego tam jeszcze”, bo gdzie indziej to wiedzą.

Widać Paweł Karolak jest przeciwnikiem Władka Pawła. Jest przekonany, że nasi statystycy nie mają co robić i dobrze byłoby ogłosić powszechny spis psów, kotów, kanarków, chomików, królików i czego tam jeszcze, aby specjalistom zapewnić pracę. Coś nam się jednak wydaje, że pracy im nie brakuje i to znacznie poważniejszej.

JEST POWÓD

Kiblice nie mają ostatnio wielu powodów do radości. Ale oto

gazety doniosły o dwu ważnych wydarzeniach, które niewątpliwie sprawią wszystkim miłośnikom sportu niekłamana radość. Dr Jerzy Moskwa zoperował Januszowi Peclakowi ścięgno Achillesa. Operacja udła się. — Czuję się już lepiej! — powiedział operowany wysłannikowi „Przeładowi Sportowemu”.

Natomiast Wojciech Fibak „udanie rozpoczął występy w tenisowym turnieju”.

Czekamy na dalsze pocieszające doniesienia.

PROPOZYCJA

Anthony Quinn postanowił zagrać Pabla Picassa w filmie o wielkim malarzu. Szukając tylko w tym, że nie ma jeszcze scenariusza do tego filmu, Anthony Quinn zaapelował więc do pisarzy i scenarzystów o napisanie takiego scenariusza.

Odwiecznym jakos brakuje. U nas również. S. Z. Peracz

DO REWALORYZACJI



Rys. Jan Zieliński

OGŁOSZENIA DROBNE

SĄ GOTOWE

„Posiadam overlock, szewską, wolny czas, gotówkę, samochód” — oczekujące propozycji (szybko spójni) współpracownicy — ogłosili ktoś w „Dzienniku Popularnym”.

Po co szyć. Niech pan sprzeda coś z tego, co pan ma i w wolnym czasie cupi sobie spódnie.

GDZIE TO SZUKAĆ?

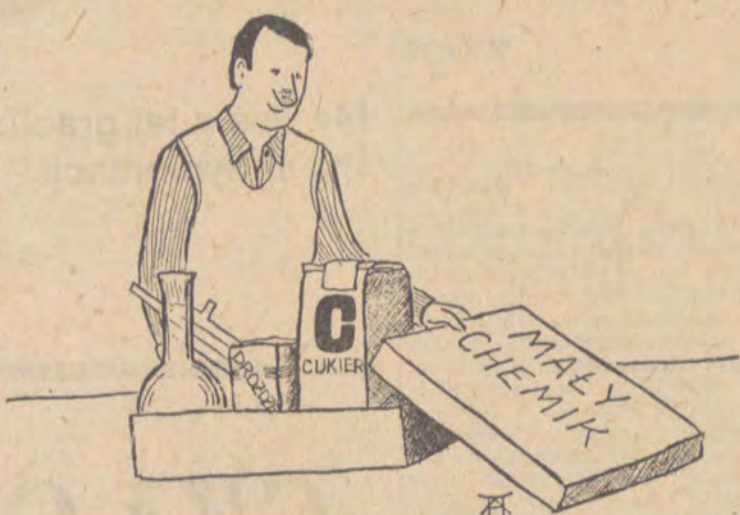
Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi ogłosiła że „zakupi od osób prywatnych: nakrycia głowy męskie i kobiece z okresu renesansu oraz dodatki...”

Oczekujemy na ofertę kupienia nakryć głowy i dodatków z okresu Bolesława Chrobrego Władana także z czasów Attyli, Nerona, Juliusza Cezara oraz Tutenchamona.

ANTYDATOWANY BRYLANT

„Pierścionek z brylantem 0,81 karata z inkluzją sprzedam Dziennik 22 października godz. 17-18” — obwieściła ktoś w „Dzienniku” 25 października.

Różne rzeczy się antydatowało. Ale żeby aż sprzedaż brylantów?



Rys. Andrzej Adamowicz

KRWAWE STOPY

Mnożą się wśród ludzi wypadki przy pracy powodowane chodzeniem boso. Niedawno, jak donosił ktoś w „Dzienniku Popularnym” pewien człowiek samochodu wracał z Plotkowska Tryb. do Łodzi przez dwa dni na bosaka, wyskoczył był bowiem z busów podczas krakowskiej spowadki.

Ostatnio „Głos Robotniczy” poinformował o fatalnej przygodzie Wiesława C., który zdążywszy uprzednio buty, pobawił nie swoje mieszkanie cennych przedmiotów. Doprowadziło go to do zguby gdyż zmuszony do reterady, pokaleczył się i zostawił za sobą krwawe ślady stóp.

Dedykowujemy te informacje naszemu przemysłowi obywatelom. Istotnie, buty przezeń produkowane nie są najwygodniejsze. (t.)

Zupełnie nowy sposób pisania tekstów humorystycznych wynalazła Zofia Buchalska i opublikowała w „Szlakach” (nr 43 z 23 października 1979 roku). Tekst stworzony epokową metodą nosi tytuł: „Sędzia kończy w niecodziennym momencie...”

Młodym adeptom satyry i humoru zdrad-

ZUPEŁNIE NOWY SPOSÓB

dzimy tajemnicę metody Zofii Buchalskiej. Bierze się po prostu magnetofon i nagrywa się jakiś komentarz z audycji telewizyjnej, a potem przepisuje się na granie na maszynie. W wypadku tekstu publikowanego w „Szlakach” był to komentarz z meczu Polska — Holandia rozegranego 17 października 1979 roku w Amsterdamie. Zapis takiego nagrania bez obrazu budzi niepomaganą wesołość. Na przykład:

KAPELUSZE Z GŁÓW!

Jan Gonczarski ze „Sztandaru Młodych” przeprowadził rozmowę z wielkim listonoszem Zdzisławem Jurkowskim. W rozmowie tej, która odbyła się w atmosferze serdecznej i wzajemnego zrozumienia, wyjaśniono ważną kwestię, nad którą od dawna bledzą się językoznawcy. Oto fragment tej rozmowy:

— „Chcę poznać opinię listonosza...” — mówi J. Gonczarski.

— Doręczyliście — prostuje Z. Jurkowski.

— A jaka jest różnica?

— Nie noszę listów, a doręczam. I nie listy, a przesyłki. Wzwaniam — przekazy, renty, zawładowanie, depesze, gazety w prenumeracie, paczki do trzech kilogramów.

I sprawę mamy z głowy. Proste prawda? Panowie czapki z głów przed taką prostotą wyjaśnienia!

Ale mamy małą wątpliwość. Jak się nazywa taki doręczyciel, który listów nie doręcza adresatom tylko wkłada do skrzynek „Hermes” w klatkach schodowych? Wkladać? Wsuwać? Skrzynekowiec? N.N.

„Tahamata. Pułapka offsjadowa. Simon Tahamata. Ojejku, jęku jak blisko górnego rogu bramki.”

Wesołe prawda? Pękamy ze śmiechu.

Albo:

„Straszną pracę mają nasi obrofcy. Rzut wolny. Tahamata. Strasznie dużo tych pomarańczowych. Ii.”

Do tego taniego zapisu dodaje się dowiecipny komentarz:

„Z powyższego widać, że nie tylko piłkarze byli w słabej formie.”

Metoda jest — jak to się mówi — do kupienia. Można na przykład publikować:

— nagrane dialogi z jakiegokolwiek filmu bez obrazu,

— komentarze DTV bez DTV,

— podpisy pod fotografią bez fotografii,

— podpisy pod rysunkami satyrycznymi bez rysunków.

Na przykład proponujemy Czytelnikom „Załącznika” pośmiać się z następującego tekstu „Ale co poza tym panie Wacku”.

Dla wyjaśnienia dodajemy że tekst ten pochodzi z 43 nr „Szlak” i jest podpisem do rysunku. Śmieszne, nie? Ubaw po pachy.

P. O. Nury

Mariusz Dmochowski zwierzył się niedawno Marcie Sztogfisz, że ma krytyczny stosunek do krytyki teatralnej.

— Krytyka — powiedział — często przejawia ubliżający stosunek do naszych działań. Nie wolno moim zdaniem deprecjonować ciężkiej pracy ludzi teatru...”

ALE CZY DOBRZE?

Pogląd, że nie wolno deprecjonować ciężkiej pracy ludzi... (tu proszę może wpisać odpowiednie słowo, na przykład: teatru, filmu, sportu, oświaty, itd.) zdobywa sobie coraz większą popularność. Maluszko a już nikogo nie można będzie krytykować, bo przecież każdy u nas ciężko pracuje. Pytanie tylko, czy dobrze?

Zyg.

Z GALERII

„CZARNEGO KABARETU”

KARMAZYN



Scena dla Dorosłych. PTL „Pinokio” — „Czarny kabaret” M. Wolskiego i A. Zaorskiego Proj. plast. — Jerzy Kalina.

Donosy

NIE CHRZĄSZCZ, LECZ SOCZEWICA

Panie Redaktorze

W b. interesujących wspomnieniach Henryka Rudnickiego w nr 43 „Odgłosów” znalazłem się odwołanie do pewnego faktu z dawnych dziejów Polski, a mianowicie do sądu Łokietka nad uczestnikami buntu niemieckich mieszczan. Osobom podejrzany, jak pisze H. Rudnicki, kazano wymawiać acyrudne dla cudzoziemca zdanie: „Chrząszcz brzmi w trzcinie”, na czym i dziś łamią sobie język niektórzy rdzenni Polacy. W rzeczywistości chodziło jednak o słowa: „Soczewica, koło, młot, młyn”, których zresztą użył Stefan Flukowski jako tytułu swojej sztuki o Łokietku, wystawionej w 1946 roku.

(Imię i adres znane redakcji)

NOSIŁ WILK...

razy kilka, ponieśli i wilka. W poprzednim „Załączniku” kpiliśmy sobie z autora notatki o idealnie wyciszonych mieszkanicach, a jeśli chochlik zakpił sobie z koleją z nas i zdanie „w politycznej składni informacji” zamienił na „w politycznej składni informacji” czym zmienił nasze doniesienie w donos. W „Odgłosach” zaś (to ten tygodnik załączony do nas — stąd czytamy się odpowiedzialni), tenże chochlik przyporządził tańców (w wywiadzie z F. Parnellem) „pietrowej lekkości”. Chodziło o lekkość pierwotną.

Poszukiwania chochlika trwają.

Ze świata

Lech też

Red. Eugeniusz Lech bawił niedawno w Baden (Austria). „Express Ilustrowany” donosił o tym pod tytułem „Beethoven też tam był”.

W kolach austriackich trwają obecnie debaty nad możliwością poinformowania Beethovena o pobycie w Baden red. Lecha. I nie jest to austriackie gadanie.

Pod grzmącym tytułem „Katarowi — kontra” zamieścił „Głos Robotniczy” doniesienie o aktualnych możliwościach walki z tą uciążliwością.

AAAPSIKI!

Pochłoniliśmy lekturę w oka mgnieniu. Niestety — broń tylko konwencjonalna. Potopiryna, witaminy, „Sulfarinol”, „Xylometazolin” itp. Żadnych bomb.

Gdybyż jeszcze można było tym palić w kotłach c.o. a nie — żywać doustnie i donośnie! (k)

Prasa poinformowała ostatnio o wynalazieniu walkometrow.

Niniejszym dementujemy pogłoski o tym, jakoby walkometr był przyrządem do mierzenia walkoni (były to ustędy „walkoniometr”). Nie ma też walkometr nic wspólnego z walkami do walkowania.

DEMENTI

ciasta (pytały nas o to gospodynie domowe).

Jak sama nazwa wskazuje, walkometr jest to wskaźnik racjonalnego zużycia paliwa, montowany w samochodach. Wyjaśnienie to publikujemy bez uzgodnienia Polskiej Agencji Prasowej.

ŻYWA BIŻUTERIA



Foto: P. Jaskow

